TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok IV. Nr 26 (174)
Łódź, 2-VII. 1961 r.
cena 1 zł

odgłosy

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU „OPISANIE ŁODZI"

Ogłoszony w kwietniu b.r., przez redakcję „Odgłosów" i Wydział Kultury Prezydium RN m. Łodzi konkurs zamknięty na reportaż p.n. „Opisanie Łodzi" został rozstrzygnięty. Jury w składzie: Marian BRANDYS, Wiesław JAŻDŻYŃSKI (przewodniczący), Stanisław MOJKOWSKI, mgr Wacław PIOTROWSKI, Aleksander POSTOŁOW, dr Mieczysław F. RAKOWSKI, Ryszard STEFAŃCZYK i Lucjan WOLANOWSKI po dokładnym zapoznaniu się z pracami i szczegółowej dyskusji nad nimi, stwierdziło bardzo wyrównany ich poziom. Zważywszy to, jak również fakt, że wśród najlepszych prac nie ma utworu szczególnie wybijającego się ponad inne, jury na mocy przysługującego mu regulaminowo prawa postanowiło nie przyznawać I nagrody, a sumę 10.000 zł na nią przypadającą podzielić na dodatkową nagrodę III stopnia w wys. 6.000 zł i cztery dodatkowe wyróżnienia po 1.000 zł każde.

Jury postanowiło przyznać

II nagrodę w wys. 8.000 zł
Jerzemu Ambroziewiczowi
(godło „M") za pracę p.t. „W drodze na szczyt",

III nagrodę w wys. 6.000 zł
Januszowi Roszko
(godło „Bartek") za pracę p.t. „Dynastia proletariuszy",

III nagrodę w wys. 6.000 zł
Stefanowi Bratkowskiemu
(godło „Kiks") za pracę p.t. „Żyto i perspektywa",

IV nagrodę w wys. 5.000 zł
Feliksowi Bąbolowi
(godło „Kurier") za pracę p.t. „Na Przędzalnianej, Wandy, Częstochowskiej".

Wyróżnienia po 1.000 zł każde w kolejności otrzymują

1. Zbigniew KWIATKOWSKI (godło „Kuba") za pracę pt. Gdzie padają kule",
2. Jerzy URBAN (godło „Kran") za pracę pt. „Duch kamienicy",
3. Aleksander ROWIŃSKI (godło „Ors") za pracę pt. „Mocni ludzie z trójkąta",
4. Stefan KOZICKI (godło „Kos") za pracę pt. „Typowa-nietypowa",
5. Bohdan DROZDOWSKI (godło „Złota brzoza") za pracę pt. „Zegar, który stanął",
6. Andrzej BERKOWICZ (godło „Leliwa") za pracę pt. „Brzoza",
7. Jerzy SZPERKOWICZ (godło „Marna") za pracę pt. „Ulice od Rzgowskiej jak lufy".

Niezależnie od decyzji jury współorganizator konkursu, redakcja „Odgłosów" postanowiła dodatkowo wyróżnić pracę autora zajmującą kolejne miejsce na liście kandydatów do wyróżnień. Praca ta opatrzona godłem „Mietek" a nosząca tytuł „Pęknięty wazon" jest autorstwa Juliana BRYSZA, który otrzymuje dodatkowe wyróżnienie.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

BORUTA przed SĄDEM

Tytuł ma znaczenie metaforyczne. Bo doprawdy każdy, kto się zapoznał z historią tragicznego wypadku w Zakładach Przemysłu Barwników „Boruta" w Zgierzu i z przebiegiem procesu sądowego może w pewnej chwili rozłożyć bezradnie ręce i rzucić ciężkie przekleństwo. Chyba sam legendarny diabeł łęczycki zamącił wodę, maczał w tej historii palce i tak pogmatwał wątki i tak zaciemnił sprawę, żeby nikt się w niej nie mógł rozeznać i wykryć prawdy. Dodatkową trudność stanowią nie łatwe dla laików do zrozumienia procesy chemiczne i technologia procesów wytwórczych, których niewłaściwy przebieg doprowadził do tragicznego zdarzenia.

A zaczęło się od pomysłu racjonalizatorskiego w oddziale W.T 6-b fabryki. Kierownik oddziału inż. Marciniak opracował nową metodę wytwarzania wodorosiarczku sodu. Metoda ta, eliminująca wydzielanie się trującego siarkowodoru, i bardziej wydajna, znalazła uznanie u inżyniera naczelnego Gerlicza, który wyraził zgodę na przeprowadzenie trzech tak zwanych szarż próbnych produkcji wodorosiarczku sodu.

Zwiedzałem podziemia, w których rozegrała się tragedia, zwiedzałem wielką halę produkcyjną z trzypiętrowymi kondygnacjami. W kadzi na drugim piętrze zakwaszano roztwór siarczku sodu kwaśnym węglanem sodu otrzymując wodorosiarczek sodu i sodę. Ten półprodukt był przepuszczany rurami z kadzi na nucze (urządzenia filtracyjne) na pierwszym piętrze dla przefiltrowania czyli oddzielenia sody od wodorosiarczku. Następnie wodorosiarczek spływał do podnośnika nr 4 lub, jak nazywają go inni, przetłocznika czyli ogromnego zbiornika w podziemiach — piwnicach. Stamtąd wodorosiarczek, już jako gotowy i przefiltrowany półprodukt, powinien być przetłoczony do zbiornika na pierwszym piętrze. Tymczasem 9 lutego 1961 r. w nocy, na trzeciej zmianie, pracującej pod przewodnictwem brygadzisty Sieli, nieustalony sprawca otworzył zawór spustowy podnośnika nr 4 spuszczając wodorosiarczek (który powinien był przecież być przetłoczony jako wartościowy półprodukt do zbiornika na pierwszym piętrze) oraz otworzył zawory podnośników nr 1 i 3 wypełnionych innymi kwasami. Wodorosiarczek spływający po kamiennej posadzce piwnicy do studzienki połączył się ze spływającymi z przetłoczników nr 1 i 3 odciekami kwaśnymi w wyniku czego wytworzył się siarkowodór o takim stężeniu, że jego siła trująca przewyższała siłę cyjankali, którego działanie śmiertelne jak wiadomo — jest piorunujące. Pierwszą ofiarą padł brygadzista Siela. Pracujący z nim robotnik Kacprzak usłyszał łoskot spadającego z żelaznych schodków ciała i ujrzał Sielę z pianą na ustach i z raną głowy. Chwyciwszy Sielę pod pachy ciągnął go około 5 metrów do wyjścia, znajdującego się przy pompach, lecz chwyciły go mdłości, porzucił więc nieprzytomnego towarzysza i pobiegł do wyjścia, aby zaczerpnąć powietrza. Ponowna próba uratowania Sieli okazała się również daremna. Z podnośnika nr 1, 3 i 4 ścieki spływały wciąż na posadzkę piw-

Dokończenie na str. 2

ALINA GRABOWSKA

„Miałam ci ja kochanecka takiego jak palec..."

JÓZEF MYSZKA (region iłżecki, Kielce): „Piosenek tych nauczyłem się od matuli i od sióstr. Matula ma 77 lat, a jeszcze tańczy i śpiewa i żadne weselisko w naszych Błazinach Górnych nie obejdzie się bez niej. Mamy parę mórg ziemi, a także krawiectwem sobie dorabiamy, a ja rodzinie pomagam jako „łaciarz" — bo przecie jeszczem nie „krawiec"... Ale za to ileż to ja już wesel obtańcowałem jako starszy drużba? Ej, pewnie dwie setki, dokładnie 197. Bo u nas tradycyjne wesela się odbywają, z wyprowadzeniem do ślubu, oczepinami, ze śpiewami. Co śpiewam? — Wszystko co tu, na Festiwalu i jeszcze dużo więcej. *„Służył Janek u pana" „Jedzie Janek jedzie" „Ta iłżecko parafijo" „Stary tatarę zasioł, młody się z niego naśmiał"*. A ta piosenka, co to ludzie klaskali? Ta piosenka idzie tak: *„Te koszulki, krawaciki, nie chce im się w polu robić ino do fabryki. A choćbyś się ubrał w same aksamity, to po głowie cie po-*

Dalszy ciąg na str. 5

Foto: Witold Rozmysłowicz

KRZYSZTOF POGORZELEC

GRANICA

ZAWSZE ODJEŻDŻAJĄ Z KTÓREGOŚ TORU PRZY PERONIE KTÓRYMŚ. NAWET WTEDY, GDY CELEM JEST PARYŻ, BELGRAD, PRAGA CZY BERLIN. TYLKO — NA SETNYM KILOMETRZE „PRZED" DO WAGONÓW WSIADAJĄ LUDZIE W SZAROZIELONYCH UNIFORMACH. CELNICY

Kunowice, Medyka, Zebrzydowice. Nazwy miasteczek takie same jak inne.

Nieprawda. Na tych małych stacyjkach często przed drewnianymi barakami zamiast eleganckich gmachów dworców zatrzymują się pociągi najszybsze z najszybszych. Bo tam — już 500 m dalej — jest GRANICA.

Otwierają się drzwi do przedziałów.

— Dobry wieczór, polska służba graniczna, kontrola celna i paszportowa. Proszę przygotować dokumenty...

A potem to samo jak zawsze graniczne misterium: czy jest coś do oclenia? Deklaracja wypełniona? W tej walizce pan wiezie?

Wprawne ręce zagłębiają się do wnętrz podróżnych sakwojaży.

— Dziękuję, życzę przyjemnej podróży, dobranoc...

Anonimowy człowiek w szarozielonym mundurze celnika, którego jedynym znakiem rozpoznawczym dla innych jest numer wyryty na metalowej blaszce, idzie dalej. Od przedziału do przedziału. Czasami tylko...

Nie darmo międzynarodowy pociąg kursujący na trasie pomiędzy stolicami dwóch państw — Paryżem i Bukaresztem, a noszący nazwę „Orient-Express" wszedł do historii literatury... kryminalno-szpiegowskiej.

Więc?

Wagony, a raczej jadący nimi ludzie mają swoje tajemnice. Walizki nie zawsze muszą mieć podwójne dna ale na pozór taka sobie niewinna paczuszka niedbale wsunięta do puszki na odpadki potrafi zmieścić kilka kompletów luksusowej damskiej bielizny z syntetycznego włókna „dederonu". Tam, za graniczną miedzą — po drugiej stronie Odry kosztuje zaledwie kilkanaście marek. U nas — kilkaset złotych. Czysty interes. Czasami mała kieszonka w kamizelce w ubraniu wytwornego pana, która normalnie służy do przechowywania tylko jednego zegarka, mieści ich bardzo dużo. Kwestia wprawy i umiejętności. Kiedy indziej w zakamarkach wagonu, nawet w tych „bardziej dyskretnych" celnik znajduje dziesiątki sztuk długopisów, tanich zegarków, pończoch, męskich koszul noniron, które po od-

Dokończenie na str. 4

TADEUSZ SABARA

Głos w dyskusji na temat sytuacji w teatrach łódzkich

Cóż więc zrobić z teatrem...

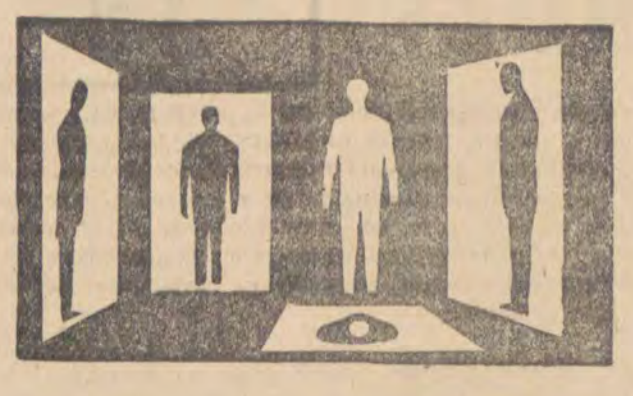

Do niedawna mój pogląd na sytuację teatralną w kraju był bardzo pesymistyczny. Zdawałem sobie sprawę z wielu bolączek, wad i słabości teatru, z niedomagań środowiska teatralnego, jak i z błędów polityki kulturalnej w dziedzinie teatru. I nieraz, kiedy już trudno było milczeć, zabierałem głos na łamach prasy. „Kryzys" — to modne słowo — pojęcie mogłoby być tytułem tych artykułów... Z tej pesymistycznej „choroby kryzysowej" zostałem prawie że wyleczony dzięki — o dziwo! — szeregu dawkom przedstawień teatrów zagranicznych. Były to dość mocne „daw'i": paryska Comedie Française, Madeleine Renaud i J. L. Barrault, T. N. P. — Jean Vilar, londyński Old Vic, Mossowiet... Po obejrzeniu całego szeregu przedstawień tych i innych teatrów przychodziły porównania i różne refleksje; wpadały mi też do ręki dyskusje toczące się w prasie zagranicznej, głosy tamtejszej krytyki teatralnej. Wynik był taki, że pojęcie kryzysu, w odniesieniu do naszego teatru, zachwiało się we mnie bardzo poważnie. Nie znaczy to oczywiście, że uważam, że z naszym teatrem jest całkiem dobrze, ile raczej — nie jest wcale tak źle.

Nie jest moim zamiarem bronić teatru przed ostrym atakiem łódzkiej krytyki. Postaram się tylko przedstawić stan i trudności w jakich teatr się znajduje i znaleźć środki poprawy sytuacji. Rola zaś i charakter krytyki ujawnią się przy omawianiu szeregu problemów teatralnych.

DRAMATURGIA

Zacznijmy od niej, od dramaturgii współczesnej, tej rzeczywiście pięty Achillesowej teatru. Lecz zaraz zaznaczmy, że ta „pięta" nie jest jedynie piętą Łodzi, lecz kraju, mało — jest piętą ogólnoeuropejską. Na pewno wiele przyczyn natury socjologicznej, kulturowej, politycznej... złożyło się na słabości współczesnego dramatu. Były już różne próby wciągania pisarzy dramatycznych do ścisłej współpracy z teatrem, do zapoznania ich z warsztatem teatralnym, były organizowane różnego rodzaju konkursy, zasiłki stypendialne itp. i niestety efekty tych prób są nadal bardzo nikłe.

Teatry, mając świadomość, że bez nowego dramatu skazane są na oddychanie powietrzem starych kufrów i szaf, wykazały niejednokrotnie i wykazują nadal maksimum dobrej woli. Widać to wyraźnie kiedy teatry wystawiają nieraz słabe sztuki współczesnych autorów, w tym debiutantów. Czasem wystarczy jeden dobry akt w sztuce, by teatr podjął się ryzyka jej wystawienia. Nie trudno się domyśleć ,że na teatr walą się za to gromy krytyki. Tak się właśnie miała sprawa, o ile dobrze pamiętam, z „Człowiekiem z głową" — Warmińskiego, z „Okularami" — Lutowskiego, z „Ucieczkami" — Sokorskiego. A może teatr chowa dobre sztuki do szuflady i celowo wystawia złe, żeby „sprowokować?" Zostawmy to pytanie bez odpowiedzi. A jeśli chodzi o dramaturgię łódzką — to jeszcze jej de facto nie ma. Dotychczasowe dwie, trzy próby dramatyczne trudno jest określić mianem „łódzka dramaturgia". Teatr oczywiście czeka na dobrą sztukę współczesnego autora i prawdopodobnie podskoczy z radości jeśli to będzie łódzki autor. Teatr musi uważać, by nie wystawiać sztuk współczesnych poniżej taryfy ulgowej. Początkującym autorom trzeba powiedzieć, żeby zawinęli rękawy i poważnie zabrali się do trudnej roboty dramatopisarskiej. Warto też zastanowić się, czy istnieją jakieś szanse zorganizowania kursu dramatopisarstwa przy Szkole Teatralnej lub uniwersytecie na wzór kursów amerykańskich.

PROFILE

Pozwolę sobie zacytować, za red. M. Jagoszewskim, wypowiedź Jaszcza w „Trybunie Ludu": „Stale podkreślam, że inna jest funkcja teatru w mieście wojewódzkim, a inna w wieoteatralnej Warszawie. Teatry w Warszawie nie muszą być kulturalnymi „omnibusami", co więcej: być nimi nie powinny. Teatry warszawskie mogą, powinny mieć własne, odrębne profile artystyczne i wtedy dopiero jakiś teatr zdobywa sobie w Warszawie prawo bytu, gdy jest czymś różny od innych". Oczywiście można tę wypowiedź odnieść również i do Łodzi.

Zagadnienie profilu artystycznego jest trudne i bardzo skomplikowane, lecz może uda mi się w kilku zdaniach, możliwie jasno, je określić. Przy omawianiu profilów artystycznych teatrów i potrzebie ich zróżnicowania — najczęściej miesza się z sobą dwa różne pojęcia: pojęcie profilu artystycznego i linii repertuarowej. Tymczasem profil teatru to nie to samo co repertuar teatru. Mogą bowiem zaistnieć dwa teatry o bardzo podobnej linii repertuarowej przy jednocześnie bardzo różnych profilach artystycznych. Podam dla przykładu dwa teatry: T. N. P. — Vilara i Comedie Française; oba teatry chętnie grają a nawet specjalizują się w repertuarze własnej klasyki francuskiej (Moliere, Racine, Corneille itp.) a wiemy przecież jak różne są te teatry w stylu, charakterze, interpretacji, w środkach formalnych wyrazu scenicznego. Ta różnica stanowi właśnie o odmiennych profilach artystycznych obu tych scen.

Na profil składa się przede wszystkim silna indywidualność artystyczna kierownika czy głównego reżysera. Jego spojrzenie na sztukę, jego stosunek do treści materiału dramatycznego, jego środki wyrazu — w sposób zasadniczy determinują profil teatru. Według swoich indywidualnych kryteriów estetycznych dobiera sobie zespół aktorski zdolny przekazać jego widzenie sztuki. Wzajemna współgra kierownika i zespołu powinna, lecz nie musi, prowadzić do zrozumienia i znalezienia jakiegoś wspólnego mianownika artystycznego. Wymaga to najczęściej żmudnych poszukiwań i walk wewnątrzteatralnych, no i... dość długiego okresu czasu. Jak wiemy choćby z doświadczeń Teatru Nowego — jego profil artystyczny kształtował się przez cały szereg lat pod kierunkiem, podkreślam, jednego kierownika. Profil ten ulegał różnym przeobrażeniom i zmianom wraz z przemianami zachodzącymi w świadomości ideowo-artystycznej kierownika i zespołu.

Jak więc widzimy, profil nie jest jakąś wartością stałą, z góry wykoncypowaną, którą można wymyślić przy stole narad. Profil jest wypadkową całego szeregu elementów w długotrwałym procesie kształtowania i jest zjawiskiem artystycznym wyższej jakości. W Polsce można wyliczyć chyba tylko na palcach jednej ręki teatry o wyraźnie skrystalizowanych profilach. Oczywiście — w tej czy innej linii repertuarowej ujawnia się tendencja artystyczna kierownika teatru; repertuar ma wpływ na rodzaj profilu. Tyle uwag chyba wystarczy, by zdać sobie sprawę z trudności. Od szeregu lat słyszy się wołania o zróżnicowanie profilów poszczególnych teatrów w większych ośrodkach teatralnych (Warszawa, Łódź, Kraków) i wołania te pozostają niestety bez echa. Zastanówmy się, co można i trzeba zrobić, żeby to „echo" mogło się odezwać. Myślę, że trzeba ustalić, z perspektywą na szereg lat, silne indywidualności kierownicze poszczególnych teatrów. (Częste zmiany kierownictw i z tym związane zmiany w zespołach — nie wychodzą teatrom na zdrowie i zasadniczo przekreślają możliwość kształtowania się profilów). Należy przy tym, analitycznie i wszechstronnie zorientować się i ustalić jakiego typu teatry są miastu potrzebne, oraz jakie tendencje artystyczne i upodobania, kandydaci na kierowników reprezentują.

Dalszy ciąg na str. 4

Dokończenie ze str. 1

BORUTA przed SĄDEM

nicy, Kacprzak czuł się coraz gorzej, zdecydował się pozostawić Sielę i biec z wołaniem o ratunek, lecz po drodze zemdlał i dopiero po odzyskaniu przytomności zaalarmował załogę. Trzej następni robotnicy, którzy bez masek pobiegli bohatersko do podziemi na ratunek brygadzisty, stoczyli się nieprzytomni po żelaznych schodkach i ulegli śmiertelnemu zatruciu. Zaalarmowana straż pożarna i pogotowie ratunkowe znalazły w podziemiach cztery trupy.

Nasuwa się pytanie, kto otworzył zawory spustowe podnośników 1, 3 i 4? Zeznania Kacprzaka pod tym względem są niejasne i sprzeczne, bowiem raz twierdzi on, że uczynił to on sam na rozkaz brygadzisty Sieli, zaś innym razem — że to brygadzista Siela własnoręcznie dokonał otwarcia zaworów. Dyrekcja fabryki i jej inżynierowie odrzucają kategorycznie możliwość wydania przez Sielę rozkazu otwarcia, lub własnoręcznego otwarcia zaworów przez Sielę, tłumacząc że był on wykwalifikowanym i doświadczonym brygadzistą, który nie mógł popełnić podobnego nonsensu.

W związku z tym obrońcy inżynierów, oskarżonych o niedopatrzenie i nieprzestrzeganie przepisów bezpieczeństwa i higieny pracy, zawory otworzył Kacprzak, celem zatarcia śladów pobicia przezeń Sieli, z którym był w konflikcie. Sąd zarządził ekshumację zwłok zmarłego brygadzisty mając zapewne na względzie, że według opinii lekarza, dokonywującego pierwotnej sekcji zwłok Sieli, nie można było ustalić bezspornie przyczyny zgonu. (Na ciele zmarłego znaleziono obrażenia. Czy pochodzą one od upadku ze schodów, czy od uderzeń, zadanych przez Kacprzaka?).

Drugim zagadnieniem w tym sensacyjnym procesie jest sprawa odpowiedzialności oskarżonych inżynierów w wypadku odrzucenia tezy o zbrodniczym, podjętym z premedytacją otwarciu zaworów.

Oskarżenie stoi na stanowisku, że inżynierowie ponoszą odpowiedzialność, ponieważ przystąpili do prób w skali technicznej bez sporządzenia pisemnej dokumentacji technologicznej i ruchowej (czyli opisu czynności, jakie mają do wykonania robotnicy przy zastosowaniu nowej metody produkcji wodorosiarczku sodu), oraz że nie przestrzegali przepisów o bezpieczeństwie i higienie pracy. Obrona replikuje na to, że nowa metoda różni się od starej tylko w części zakwaszania roztworu, natomiast aparatura, na której produkowało się wodorosiarczek, oraz czynności ruchowe w nowej metodzie były te same, co w starej, z którą robotnicy byli już poprzednio obeznani.

Można sądzić, że w czasie procesu zarysowały się dwa przeciwstawne stanowiska, jedno — reprezentowane przez obrońców i część biegłych, oraz drugie — reprezentowane przez pozostałą część biegłych. Zacznę od przedstawienia argumentacji tych drugich, którzy w obronie zdrowia i bezpieczeństwa robotników domagają się rygorystycznego przestrzegania przepisów o bezpieczeństwie i higienie pracy oraz dokładnych, pisemnych dokumentacji technologicznych i ruchowych. Biorąc pod uwagę, że w ustroju, budującym socjalizm, życie człowieka jest wartością najwyższą, stanowisko to należy uznać za humanitarne i ze wszechmiar słuszne. Czy jednak zwolennicy tego punktu widzenia nie posuwają się za daleko i nie wpadają w formalizm żądając, aby każda czynność w produkcji przemysłowej była skrupulatnie i dokładnie opisana i udokumentowana? Czy w takim podejściu do wynalazków i racjonalizacji nie kryje się jednak niebezpieczeństwo hamowania produkcji i czy nie prowadzi to do rezultatów, przed którymi ostrzega stara klasyczna maksyma: Pereat mundus fiat iustisia", co mutatis mutandis dałoby się strawestować: niech zginie przemysł byle przepisom stało się zadość.

Zwolennicy pierwszego poglądu zwracają uwagę, że łęczycki, i nie tylko łęczycki diabeł biurokracji tak już zamieszał w naszym życiu gospodarczym i w administracji, tak zasypał papierkami nasze urzędy i ministerstwa, że zachodzi obawa, żeby obroty machiny administracyjnej nie zwolniły czasem tempa tam, gdzie — jak np. w lecznictwie uspołecznionym — powinny poruszać się dla dobra kraju sprawnie i szybko. A stamtąd właśnie, z lecznictwa uspołecznionego, a nawet szkolnictwa dochodzą skargi, że lekarze i nauczyciele uginają się pod papierowym brzemieniem ankiet, wykazów itp., nie nadążając z wykonywaniem obowiązków, które są istotną i główną częścią ich zadań, czyli — z leczeniem i nauczaniem. Czy podobny stan rzeczy i podobny los chcemy zgotować naszemu przemysłowi? Czy chcemy odwrócić uwagę inżynierów, racjonalizatorów i wynalazców od istotnych ich zadań i celów (jakimi są — zwiększanie potencjału gospodarki narodowej) gwoli tryumfowi statystyk, ankiet i dokumentacji ruchowych? Czy inżynier, że posłużymy się przykładem Marciniaka — któremu powierzono kierownictwo i przeorganizowanie pracy na Oddziale W. T. 6-b, nie wykonującym planów produkcyjnych, i który (inżynier) dokonał ogromnego dzieła, przywrócił bowiem zdolność produkcyjną powierzonego mu oddziału (za co został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi), czy realizujący tak odpowiedzialne zadania inżynier jest w możności dopilnować na czas drobiazgowych zaleceń inspektora bezpieczeństwa i higieny pracy? Czy należy go karać za to, że podwyższył potencjał gospodarczy na powierzonym mu odcinku gospodarki socjalistycznej, lecz zaniedbał (jeżeli rzeczywiście zaniedbał, czego nie wolno przesądzać, bo o tym orzeknie sąd) dopilnować na termin drobiazgowych zaleceń inspektora bezpieczeństwa i higieny pracy? Czy, wreszcie, możliwe jest skrupulatne, dokładne i szczegółowe opisanie każdej czynności w fabryce, tętniącej rytmem intensywnej produkcji i wykonywującej pilne i ważne zadania, powierzone jej załodze przez partię i rząd? Czy nie grozi to częściowym zahamowaniem względnie opóźnieniem procesów produkcyjnych?

Dyrektor naczelny „Boruty" stwierdził, w rozmowie ze mną, że 95 proc. poleceń i zarządzeń związanych z produkcją wydaje ustnie, i tylko w tym wypadku, w którym brak zaufania do zleceniobiorcy lub obawa co do jego kwalifikacji, względnie dobrej woli, nakazują szczególną ostrożność, wydaje zarządzenia pisemne. Gdyby zaś chciał większość swych dyrektyw produkcyjnych przekazywać w formie pisemnej, musiałby mieć na usługach cały sztab sekretarzy który z pewnością nie przyczyniałby się do usprawnienia i przyśpieszenia produkcji.

Oprowadzał mnie po terenie fabrycznym młody inżynier-chemik. Szliśmy przez miasteczko fabryczne, a raczej przez jakąś dzielnicę na pół podmiejską, gdyż gmachy, zbiorniki, baseny, przewody i rury, przez które przetłaczano parę, wyrastały na tle zieleni, a wyloty wyasfaltowanych ulic otwierały się nagle na piękny pejzaż lub fragment lasu. Młody inżynier opowiadał mi, że według powszechnie przyjętej i stosowanej w całym kraju praktyki zawsze przeprowadza się rozruch i sprawdzenie pomysłu racjonalizatorskiego w skali technicznej, a dopiero po ukończeniu próby spisuje się dokładną dokumentację ruchową, którą w szczegółach trudno z góry, czyli przed dokonaniem próby przewidzieć. Z pewnością ten aspekt powinien być wzięty pod uwagę. Ale nie tylko ten. Chodzi nie tylko o stwierdzenie, kto zawinił i dlaczego. Proces zgierski nie ogranicza się do wąsko pojętej zbrodni i kary. Z konieczności musi dotykać sytuacji w przemyśle. I trzeba doprawdy dużo taktu i spokoju, aby nie wylać dziecka z kąpielą.

Sąd po rozpatrzeniu dowodów i wysłuchaniu opinii biegłych, wniosków oskarżenia i obrony i głosu oskarżonych wyda rozstrzygnięcie, na które oczekują nie tylko bezpośrednio zainteresowani inżynierowie, i nie tylko pracownicy przemysłu chemicznego w okręgu łódzkim, lecz również szeroka opinia publiczna.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

SUSANAH BAWI SIĘ SWOJĄ STAŁĄ MASKOTKĄ — SREBRNĄ WIKTORIAŃSKĄ IGIELNICZKĄ W KSZTAŁCIE ŚWINKI.

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

„CINDERELLA"

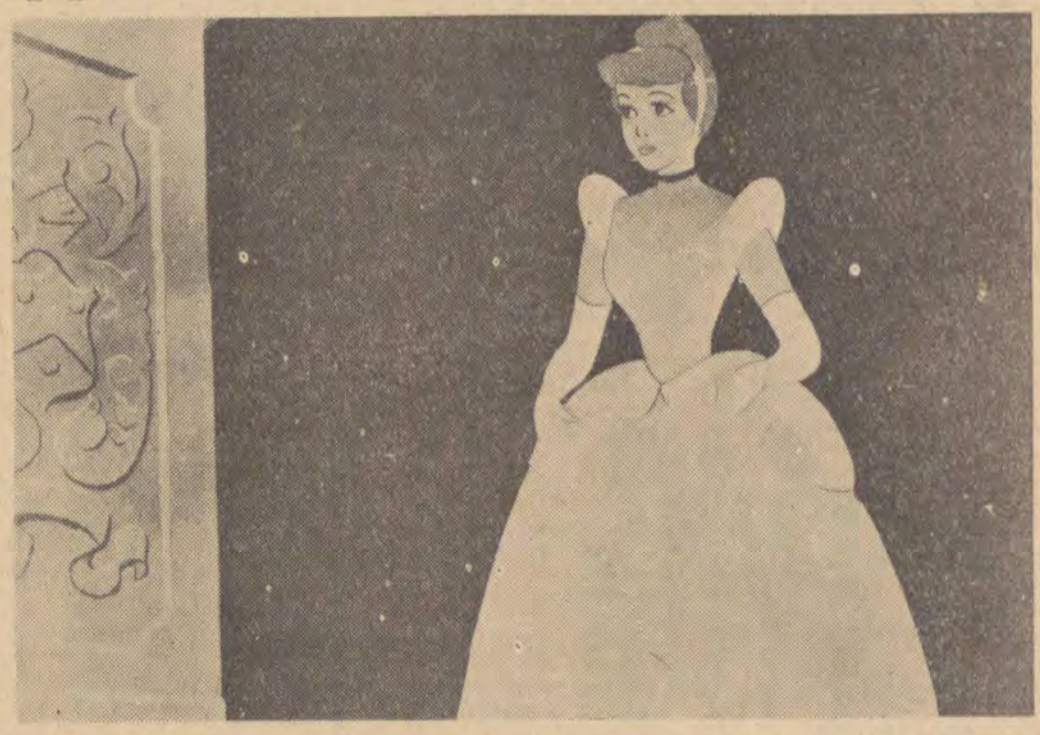

Zdjęcie z filmu „Kopciuszek"

Film Walta Disneya o Kopciuszku — dziewczynie z wielkimi oczyma i złotymi włosami — której rozliczne cnoty zostają wynagrodzone (jak to bywa w bajkach) miłością pięknego królewicza, może być adresowany do dzieci nie tylko dlatego, że jest on jednopłaszczyznowy i nie ma „drugiego dna". Film rozczarowywuje dorosłych, mimo, że odnajdujemy w nim wszystko to, co stanowi o specyfice zjawiska (zjawiska, które ma pośród widzów wielu wielbicieli i ogromne kredyty) zwanego „Disneyem"; prostotę bajkowej fabuły urok czworonożnych bohaterów i melodii. Jak we wszystkich filmach Disneya, cała społeczność myszek i ptaków z ich groźnym wrogiem, kotem Lucyferem, bierze bezpośredni udział w życiu ludzi. Ptaszki i myszki budzą Kopciuszka, ścielą jej łóżko, pomagają przy rannej toalecie, szyją sukienkę itp. Perypetie świata zwierzęcego stanowią jakby drugoplanową (odbywającą się poza właściwą fabułą — historia o biednej dziewczynie, dręczonej przez macochę) akcję filmu. A że te perypetie przyjaciół Kopciuszka, myszek Kajtusia i Chudego (świetna scena, gdy dwie myszki wyciągają z kieszeni macochy klucz), są dość zabawne młodzi widzowie będą się bawić na pewno dobrze. Bo dla dorosłych „Cinderella" nie jest, mimo tych wszystkich chwytów, zabawna. (Przypominamy film o myszce Miki, który był przecież jedną „bombą śmiechu"). Film rozczarowuje bo jest nudny, bo nie ma w nim takiej liczby gagów, która pomogłaby widzowi zapomnieć o prezentowanej w filmie złej plastyce. To "rozczarowanie dorosłych nie może być oczywiście zapisane na minus filmowi. „Kopciuszek" nakręcony był z myślą o dzieciach, jego łatwe alegorie i niewymyślność losów bohaterów przemawiają żywo do ich wyobraźni. Dzieci bawią się dzięki Disneyowi świetnie, wynosząc z filmu życiowe prawdy w rodzaju: „dobro zwycięża zło". Czegóż można oczekiwać jeszcze?

EWA SULIBORSKA

WAKACJE GWIAZDY

W ostatnich tygodniach zgodny poklask krytyki i publiczności zdobyła nowa gwiazda ekranu — Susannah York, młoda aktorka angielska. Sławę jej przyniósł film wytwórni Columbia „The Greengage Summer" (Renklodowe lato). Susanah zagrała główną rolę szesnastoletniej dziewczyny — już nie podlotka, ale jeszcze nie kobiety która przeżywa pierwszą wielką miłość. Krytyka jednogłośnie podkreśliła, że zagrała znakomicie, z dyskretną ekspresją a równocześnie niezwykłą naturalnością. Lato skończyło się. Susannah straciła niedoszłego kochanka, ale podbiła serce wszystkich mężczyzn a także wielu kobiet.

Aktorka ma 22 lata, jest jedną z pięciorga rodzeństwa, dzieciństwo spędziła w górskich okręgach Szkocji. Po ukończeniu szkół przez dwa lata studiowała w Królewskiej Akademii Sztuki Dramatycznej. Zanim przyszedł sukces występowała w telewizji oraz grywała małe rólki w teatrze i filmie. Ściągnęła na siebie uwagę dobrze odegraną rolą córki Alec Guinnessa w filmie „Tunes of Glory".

Uciekając przed niewygodami nagłej popularności aktorka wraz z mężem, Michaelem Wellsem, wybrała się na wakacje do Tangeru. I tam jednak dopadli ją fotoreporterzy.

Z MĘŻEM W KAWIARNI

Cóż więc zrobić z teatrem...

Dokończenie ze str. 2

KONCEPCJE

Jakie wybrać koncepcje teatralne dla poszczególnych scen, by wilk — czyli teatr — był syty i owca — czyli widownia — cała.

Przewidywałbym duże trudności w realizacji teatru satyry-estrady na scenie „7.15", już choćby ze względu na obecny charakter zespołu aktorskiego i kierownika, którzy — w swej większości — przyszli do teatru ze scen dramatycznych. Należałoby się liczyć z odpływem wielu aktorów i z koniecznością dobrania estradowców, co nie byłoby zbyt łatwe i proste. Bardzo dużo zależałoby też od łódzkich autorów satyrycznych, czy potraktowaliby tę scenę jako swoją i pisali dla niej. Licząc się z „zastaną rzeczywistością" wydaje się, że Teatr „7.15", przynajmniej w tej chwili, jest bardziej przygotowany na koncepcję kameralnej komedio-farsy, albo sztuki sensacyjnej. Składanka satyryczna mogłaby stopniowo wplatać się w tę koncepcję, aż do ewentualnego jej wyparcia.

Jeżeli jeszcze stosunkowo łatwo przychodzi nam określić odrębny charakter Teatru „7.15", to już o wiele trudniej zróżnicować między sobą teatry: Jaracza, Powszechny i Nowy. Żeby sobie ułatwić zadanie, zostawmy na razie Teatr Nowy na boku naszych rozważań. A więc drugi z brzegu — Teatr Powszechny. Jestem skłonny podpisać się pod koncepcją „teatru popularnego", Red. M. Jagoszewski sugeruje, by teatr ten „realizował interesujący, wartościowy pod względem artystycznym i ideologicznym repertuar (obojętnie czy poważny czy lekki) komunikatywny, dostępny i zrozumiały dla najszerszych sfer publiczności. W zasadzie nie negując tej sugestii, pozwolę sobie trochę inaczej, trochę impresyjnie przedstawić koncepcję teatru popularnego.

W przeciwieństwie do letniej temperatury jaka panuje w większości teatrów współczesnych, odczuwam teatr popularny jako teatr „gorącej fali". W teatrze tym grałoby się tylko sztuki „mocne", najsilniej działające na widownię, atakujące ją. Arcydzieła sceniczne są dla wszystkich i mieszczą się w repertuarze teatru popularnego, lecz chyba nie wszystkie arcydzieła. Zasadniczo nie o arcydzieła tu chodzi, lecz o sztuki, które mogą najsilniej zaabsorbować masowego widza, zmusić go do bardzo żywej reakcji swoją żywotną, chciałoby się rzec — drapieżną aktualnością, problematyką. Sztuki o żywej, bogatej akcji, z narastającymi spięciami dramatycznymi.

Powyższa koncepcja teatru popularnego oparta jest na założeniu, że masowy widz szuka w teatrze wzruszeń mocnych i zabawy, niestety — zbyt rzadko je znajdując. Tak bardzo oddaliliśmy się od tego typu teatru, że przewiduje opory, nie tyle w środowisku teatralnym ile wśród krytyki. Sztuka „rozsądna", zmuszająca nas do biernego podglądania oddzielonego od widowni świata, zapanowała w naszej świadomości. Nawet Szekspir w swoich krwawych tragediach wydaje się zbyt wulgarny. Ludowa komedia dell'arte wydaje się cyrkiem niegodnym sceny teatralnej. Cóż więc zrobić z teatrem — tą „świątynią sztuki"? Nie pozostaje chyba nic innego jak apelować o powrót do prostych i zdrowych tęsknot ludowych. Chyba dobrze współgrałaby ta koncepcja z profilem Teatru Nowego, którego cechuje (w skrócie): wyraźna dyscyplina intelektualna w przeprowadzaniu idei-myśli dzieła scenicznego, twórcze wydobywanie z klasyki myśli współczesnej i narodowej oraz pewna poetycka, nawet „ascetyczna" skrótowość środków formalnych.

Dobrze się stało, że Mała Sala przy Teatrze Nowym nabrała charakteru na pół elitarnego, eksperymentalnego i daje miejsce dramaturgii współczesnej oraz mniejszym formom.

Gdyby w wachlarzu teatralnym Łodzi mogła znaleźć się jedna scena dobrej „tradycyjnej" roboty, jakieś polskie odbicie paryskiej Comedie Francaise, z repertuarem klasyki polskiej i obcej — byłby to szeroki, urozmaicony wachlarz, Teatr Jaracza, ze swoją tradycją, był bliski tej koncepcji.

REPERTUAR

Teraz jest już jasne, że tam, gdzie nie ustalił się jeszcze charakter sceny, gdzie koncepcja teatru nie została wyraźnie określona — musiały się zdarzać pozycje repertuarowe dość przypadkowe i nieprzemyślane. To jest złe i teatr chyba zdaje sobie z tego sprawę. Teatr, jak mi się zdaje, ma też za dużo kultu dla klasyki; ten kult trzeba zrewidować okiem współczesności. Repertuar jest największym gwoździem niezgody między teatrem a krytyką. Dawniej konflikt ten nie występował tak ostro jak to się dzieje dzisiaj i dlatego trzeba się nad tym zastanowić. Wśród ludzi teatru panuje przekonanie, że prawie każdy utwór „lżejszego kalibru", a już nie daj Boże — farsa, spotka się z atakiem krytyki, że to „pod publiczkę", że teatr „tanieje," jeśli nie upada. Brak „filozofii", „odkrycia Ameryki" — czyli ciężaru gatunkowego — dyswalifikuje sztukę; choćby ta rzecz była nawet dobrze napisana, ze znajomością rzemiosła, ba — interesującą publiczność — krytyka zjedzie ją. Solidna robota teatralna też czasami nie wystarcza, bo braknie jej skrótów, przenośni, aluzji, i smaczków intelektualnych. Krytyka, jak się zdaje, często zapomina, że teatr jest nie tylko dla wyrafinowanych smakoszów, ale przede wszystkim jest dla szerszej publiczności. Czy więc krytyka nie odrywa się od potrzeb społecznych? Krytyka często robi wrażenie jak by po każdej premierze spodziewała się literackiego wydarzenia, czy też nowinki; a teatr lata dość często za nowinkami i gra czasem „chały" marki zagranicznej, dobrze rozreklamowane, ale za to z patalogicznym dreszczykiem klinicznej narkomanii, z pederastami i (koniecznie) prostytutkami, albo nowinki z modnym sosem bezsensu życia i z wykastrowanym, biednym, samotnym człowiekiem. Jest „filozofia", jest smutek i łzy — chodźmy na wódę! — Teatr nie stać jest na ustawiczne strzelanie z „Grubej Berty". Strzały ciężkie, pełne, głośne i trafione w 10-tkę — nie mogą się zdarzać często. Czy więc nie stawiamy teatrowi zbyt dużych wymagań? Czasem z jednorazowych potknięć i błędów teatru, czy też ze znaków przejściowych, krytyka zbudowała cały system upadku i kryzysu. Obraz teatralnej rzeczywistości odbił się w krzywym zwierciadle.

TADEUSZ SABARA

(dokończenie ze str. 1)

nalezieniu przez służbę graniczną jakoś... nie mogą znaleźć właściciela wśród podróżnych. Tego, który je tam ukrył.

Granica.

* * *

Nie ma biało-czerwonego szlabanu, zbrojnych posterunków WOP, nie zjeżdżają tutaj pociągi, których celem są dalekie kraje. Pas zaoranej ziemi zastępuje normalna, w miarę wyboista, zwyczajna jezdnia łódzkiej ulicy. A jednak to prawda, że linia graniczna biegnie właśnie tutaj, niemal przez środek naszego miasta.

Obowiązujące w Polsce przepisy celne pochodzą z roku 1933. Zostały one uzupełnione przez dodatkowe postanowienia w roku 1955.

Mały pałacyk, do którego wejście wiedzie przez wpół otwartą bramę. Na parterze — kilka pokoików, jakaś opasła waga, bariera oddzielająca urzędnicze biurka od petentów. Ot, — zwyczajny urząd.

Jeżeli chcesz wyjechać za granicę możesz bez dodatkowych opłat wywieźć różnych towarów za 1.000 zł. W przypadku przyjazdu zza granicy przepisy zezwalają na „prywatny" import różnych przedmiotów o wartości 1.500 zł „celnych", czyli takich jakimi operuje się w cenniku opłat skarbowych za przywóz towarów do Polski z innych krajów.

Pozory. Bo to właśnie tutaj zbiegają się wszystkie nici międzynarodowych powiązań naszego miasta, a przede wszystkim jego przemysłu z całą resztą świata. Dla laika są to nic nie znaczące nazwy, które figurują w urzędowych rejestrach: ANIMEX, TEXTILIMPORT, MINEX, CETEBE. Pod nimi kryją się polskie centrale handlu zagranicznego, które rozsyłają swoje macki po całym świecie i dla nich pracują agenci nawet na dalekich antypodach czyli w Australii.

Nigdy bym nie przypuszczał, że urzędnicze biurka mogą kryć w sobie taki doskonały barometr i stanowić świetny przyrząd do mierzenia powodzenia. Ludzie przy nich siedzący są chyba — obok urzędników handlu zagranicznego najlepiej poinformowanymi wśród Polaków o tym „co, gdzie idzie".

Otóż — idzie i to bardzo dużo. Np. łódzka chłodnia oraz rzeźnia z Włocławka są stałymi dostawcami wielotonowych partii mięsa. Odbiorcy — Niemiecka Republika Demokratyczna, mimo silnych oporów Związku Rolników Niemieckiej Republiki Federalnej czyli tzw. „Grüne Front", który stara się stworzyć przed polskimi artykułami spożywczymi bariery nie do pokonania — także i kupcy z tamtej strony Łaby chętnie sięgają po polskie bekony, podobnie jak Belgia, Holandia, Australia, Anglia, Związek Radziecki. W tym ostatnim przypadku bywa i tak, że ZSRR zamienia się czasami z nabywcy w dostawcę. Wtedy, gdy na naszym rynku zarysowują się pewne „obiektywne" trudności...

Niektóre opłaty celne: Za 1 kg grochu musisz zapłacić w Urzędzie Celnym 5 zł, pieczywa 10 zł, czekolady 150 zł, za litr spirytusu 100 zł, za 1 kg grzybów 600 zł kryształy — 100 zł za 1 kg, wędlina — 50 zł za 1 kg.

Tutaj ciekawostka. Ministerstwo Handlu Zagranicznego powinno przed swoim gmachem w Warszawie wystawić pomnik... świniakowi. Temu chrząkającemu w tysiącach egzemplarzy po różnych chlewach rozrzuconych jak polska wieś długa i szeroka. Bo — czy wiecie, że około 60 proc. wszystkich naszych wpływów w tzw. wolnych dewizach czyli brzęczących dolarach lub funtach, które inkasuje nasz handel zagraniczny pochodzi z eksportu artykułów konsumpcyjnych, głównie mięsa. Ceny na ten eksportowy artykuł odznaczają się największą trwałością i tak jak gęsi uratowały podobno Rzym, tak samo — w obliczu spadku cen na węgiel — prosiaki oczywiście te wywożone za granicę uchroniły od wielu niepowodzeń polską gospodarkę. W roku 1960 wpływy dewizowe za ten kwitnący towar osiągnęły kwotę 300 milionów złotych dewizowych.

Łódź nie byłaby jednak sobą, gdyby tylko na mięsie stała. Nie rościmy sobie pretensji do miana stolicy polskiego eksportu. Są takie dni, w których na bocznicę kolejową przy ul. Towarowej nadchodzi 20 wagonów. Wszystko — zza tamtej strony granicznego kordonu. Ich odbiorcami są znowu Textilimport, Cetebe, Skórimpex, trzy łódzkie centrale handlu zagranicznego. Czasami „ruch w interesie" jest tak duży, że wagony muszą być kierowane nie na bocznicę przy ul. Towarowej, ale na zapasową „odnogę" na Żabieńcu. Głównie wtedy, gdy do naszego miasta przychodzą partie zagranicznej odzieży i bielizny. Starannie poukładane i opakowane trafią za pośrednictwem sklepów do rąk łodzian. Ale nim to się stanie, ręce ludzi odzianych w szarozielone mundury celników muszą dokładnie sprawdzić, co i jak, skąd.

Z tym bywa różnie. Znowu powtarzają się nazwy odległych często państw i krajów: Francja, Belgia, Jugosławia, Węgry, Niemiecka Republika Federalna. Stamtąd właśnie przybywają do Łodzi chemikalia, których największym odbiorcą jest zgierski „Boruta". Związek Radziecki ma prawie wyłączność na dostawę śnieżnobiałych bel „prostokątów" bawełny. Tutaj właśnie w małym pałacyku Urzędu Celnego odbywa się tu cyrkulacja i wymiana. Do nas surowce i wyroby przemysłu dziewiarskiego, odzieżowego i chemicznego, a tam — w drugą... prawie to samo. Znowu tekstylia, półprodukty chemiczne, odzież. Łódzcy celnicy mają nawet swoich ulubieńców wśród eksporterów. Tak np. ich zdaniem konfekcja i wyroby dwóch łódzkich fabryk „Próchnika" oraz im. Lenartowskiego nie ustępują tym najlepszym z zagranicy.

To są te oficjalne operacje, które można śmiało porównać z kontaktami dwóch urzędów. Bo wszystko odbywa się w oparciu o oficjalną rozmowę handlową, wiadomo co i kiedy przyjdzie, ile tego będzie. Czasami tylko...

* *

Znowu wypadło mi powtórzyć słowo „czasami". Komuś to może się wydać śmieszne, że tutaj w środku miasta położonego o kilkaset kilometrów od linii granicznej toczy się ta „normalna" podjazdowa walka z cieniem. Cieniem są ludzie. Każdy urząd celny ma swoje tajemnice. Być może w łódzkim przypadku nie są one zbyt wielkie, ale...

Czy wiecie, że są wśród nas i tacy, którzy za wszelką cenę starają się wyręczyć polskie centrale eksportowe?

Polska wódka, grzyby, pierze, a przede wszystkim mięso i jego przetwory cieszą się na zagranicznych rynkach ogromnym zainteresowaniem. Cóż — to jest kwestia... doskonałego smaku. Więc — niechętnie mówią o tych sprawach. Nawet starali się mnie zbyć niczym. Ale mimo wszystko moim zdaniem warto mówić o tym, że do Niemieckiej Republiki Federalnej, Anglii, Francji, Stanów Zjednoczonych i Izraela wędrują od nas dziesiątki paczek wypełnionych smakołykami. Ciekawym podam, że średnio licząc łódzki Urząd Celny codziennie przyjmuje do oclenia około 25 przesyłek kierowanych do różnych zakątków świata. Tuż przed świętami — Bożego Narodzenia, Wielkiejnocy liczba ta gwałtownie rośnie. W zasadzie nie ma w tym nic dziwnego, ot — rzecz normalna, podarunki dla bliskich. Ostatecznie po całym świecie rozsiane są miliony Polaków.

Najczęściej wysyłanymi za granicę polskimi wyrobami są grzyby, puch i pierze, czekolada oraz wędliny. Był taki okres, w którym wszelkie rekordy powodzenia biły ludowe kilimy, mimo że opłata celna za 1 kg wynosiła w tym przypadku 300 zł. Za puch płaci się 700 zł od 1 kg, za pierze 300 zł. Najczęstszymi odbiorcami są adresaci w USA, Holandii, Belgii, NRF oraz w Izraelu.

Książki wolno wysyłać za granicę bez żadnych ograniczeń, ale tylko te, które zostały wydane po roku 1945. Wcześniejsze edycje wymagają zgody Ministerstwa Oświaty względnie odpowiedniego Wydziału Kultury Prezydium Rady Narodowej.

Łodzianie nie są w pełni zadowoleni z pracy miejscowego Urzędu Celnego. BEZ JEGO WINY. Po prostu — zdecydowana większość przesyłek, tych większych idzie bądź przez Urzędy Celne w Warszawie i Gdyni, względnie za pośrednictwem poczty. Stąd bardzo często adresat zagranicznej przesyłki nie może w Łodzi interweniować w przypadku „niekompletności" paczki.

Tylko — jakże często odwrotnym strumieniem płyną paczki z różnymi fatałaszkami, które są... ekwiwalentem. Technika jest prosta. Wystarczy przecież wysłać za granicę do dwóch znajomych sobie osób szereg paczek z polskimi artykułami spożywczymi, tam za graniczną miedzą następuje ich upłynnienie, i rzecz cała „wraca" w postaci owych sweterków, sztucznej biżuterii czy koszul nonIron, które przecież w komisach kosztują 500 zł za sztukę. Ludzie są przebiegli, nie chcą zdradzić „podtekstu" tego procederu. Więc paczki wysyłane są na różne adresy. W ten sposób chcą zmylić tron. Nie zawsze się to udaje. Na ten temat bardzo dużo może powiedzieć łódzka milicja. Efekt? Tak jak to ma zawsze miejsce w przypadku „wsypy" na tej normalnej granicy. Wyrok sądowy.

TO JEST CHYBA NAJDZIWNIEJSZA GRANICA NA ŚWIECIE. MOŻECIE JĄ PRZEKRACZAĆ WIELOKROTNIE BEZ JAKICHKOLWIEK DOKUMENTÓW, PRZEPUSTEK I WIZ. PRZYNAJMNIEJ KILKASET OSÓB JEST DLA NIEJ „SĄSIADAMI". PRZEZ PODWÓRKO. BO TA GRANICA BIEGNIE PRZEZ KAROLEWSKĄ.

KRZYSZTOF POGORZELEC

GRA-NICA

Zofia Glinka ze Smolarni pow. Krapkowice, woj. opolskie

„Miałam ci ja kochanecka takiego jak palec..."

Dalszy ciąg ze str. 1

znają żeś głupek zabity". W naszym, iłżeckim regionie piosenek jest bez liku, parenaście godzin można by je śpiewać..."

OTYLIA KAZIMIERCZAK (region krymuski, Katowice): „U nas w Rokitnie Szlacheckim jest pewnie ze siedem dziewcząt co potrafią śpiewać. Zbieramy się razem i te starsze uczą te młodsze dawnych piosenek, a także układamy je sobie same. Ja się od babci nauczyłem i od mamusi. Mamusia nazywa się Józefa Cyran i do radia dała już 270 melodii. Strój mój nazywa się „kremołowski", tak u nas przed laty kobiety chodziły ubrane, a „siewierski" — jeszcze ładniejszy, tylko nie przywiozłam. Ten zaś instrument w kapeli to „bębenek starożytny" i robi się go ręcznie, a dla naszej kąpieli wykonał go pan Władysław Wnuk, który też na skrzypcach gra, a odkąd pamięta to pradziad jego grał i dziad i ojciec, a teraz córka, w naszej kapeli. Cała rodzina muzykuje. Jakie piosenki układamy? Oto na wybory taką śpiewaliśmy: *„A my w Ludowej Polsce wszyscyśmy głosowali, żeby faszyści wiedzieli, że my wojny nie chcieli. Choć każdy żołnierz polski ma serce bohatera, przeszedł przez ogień i wojnę i zwyciężył Hitlera"*.

ZOFIA GLINKA (region Śląsk Opolski): „Ano dałak ci ja się na ten śpiew i dzierża do dzisia... A taką mam uciechę od śpiewu i tańcuje też, chocia mam 50 let. I tańcuje „na krakowianke" i „na monike" i „na ścirke" i „na mietle" i na „klip — klap" i walca i polke. A od starzyków sie nauczyłach śpiewek i robiłach ja w szkołce w lesie i przyjechało czterech chłopa i pyta: „Kto poredzi śpiewać"? A ja powiada: „Jeu poreudza". No to jakem ze wsi wyjeżdżała, wszyscy wiedzieli, że do takiego wielkiego miasta jako ta Łodź. A przed tem to jeno w Opolu byłach dwa raza... Strój co mam na sobie to je strój niedzielny: jupa, fartuch, jupa kneflami wyszyta, zapaśnica. A na co dzień też u nas tak chadzajom, tylko w durkuli. Śpiewek znam 34, jak to: *„Cyro moja coj ci jest"*, *„A ja steula smutna"* *„Pospiesz, pospiesz moje ty kochanie, a mnie wrychło dogoniesz"*. I śpiwajo jeszcze w Smolarni naszej *„Szła dziewczynka dreuwno siec"* i *„Rano, rano ranusieńko"*. Tak ja sobie śpiewom jak na roli robiem bo mąż mi we wojne umierł i samach jestem z dziećmi...

IMITACJA CZY KULTURA

Józef Myszka, Otylia Kazimierczak, Zofia Glinka — przyjechali do Łodzi na II Ogólnopolski Festiwal Kapel, Pieśniarzy i Tancerzy Ludowych. Ta impreza była fragmentem Wielkiego Ogólnopolskiego Festiwalu Muzyki, Tańca i Pieśni, który objął wszystkie kategorie amatorskich zespołów śpiewaczych, instrumentalnych i tanecznych, a także solistów, duety i tercety. Wzięły w nim udział środowiska wiejskie i miejskie, młodzież szkolna i akademicka. Założeniem programowym festiwalu — organizowanego w latach 1960—61 było „wszechstronne ukazanie dorobku amatorskiego ruchu artystycznego w dziedzinie muzyki, pieśni i tańca — dla uczczenia 1000-lecia Państwa Polskiego".

Te założenia — po Festiwalu Zespołów i Solistów Estradowych z początku czerwca we Wrocławiu, po Festiwalu Kulturalnym Studentów w maju w Gdańsku, po Festiwalu Teatrów Poezji w Koszalinie i Festiwalu Zespołów Ludowych w Łodzi — niewątpliwie zostały wypełnione. Nie znamy jeszcze dokładnych cyfr i danych — wiemy, że w Gdańsku było ok. 1.200 uczestników a w Łodzi ponad 700, że we Wrocławiu suma nagród przekroczyła 140 tys., że były to wielkie imprezy, daleko przewyższające swoim zasięgiem to wszystko, co dotychczas robiono w dziedzinie ruchu amatorskiego. Wielki Festiwal — prócz cyfr, danych i statystyk dał także odpowiedź na pytanie: Czym powinien być ruch amatorski? W jakim kierunku powinna iść praca programowa zespołów? A repertuar? Jak winien się kształtować?

Jestem przekonana, że ze wszystkich tych imprez, które złożyły się na Wielki Festiwal Muzyki, Pieśni i Tańca — ta właśnie, łódzka, była najcenniejsza.

Dlaczego?

Nie ulega wątpliwości, że piękna idea ruchu amatorskiego bardzo często ulega wypaczeniu. Jakże nieuchwytny jest moment, w którym zaciera się granica pomiędzy prawdziwym amatorstwem — a pół zawodowstwem! Granica, od której krok już tylko do tego, by zespół amatorski traktować jako stopień — po którym wchodzi się do zespołu zawodowego, przechodzi na zawodowe piosenkarstwo lub taniec. To jest nieuniknione, ponieważ celem amatora jest — przede wszystkim — występ, estrada. Chce się podobać, śpiewa to, co aktualnie chętnie przyjmuje publiczność, niejednokrotnie „chałturzy" tymi samymi piosenkami i tańcami. Naśladuje zawodowych piosenkarzy, śpiewa to, co oni. Warto zwrócić uwagę na repertuar amatorskich zespołów estradowych — po dziś dzień ruch amatorski nie wypracował sobie własnego repertuaru i karmi się odpadkami ze stołu zawodowców. Na dobrą sprawę, w zespołach nie prowadzi się żadnej pracy wychowawczej, nie „uczy" się rozumienia muzyki i literatury, sztuki w ogóle. Czym że innym tłumaczyć można np. fakt że amatorski kwartet wybiera sobie piosenkę o następujących słowach: „Idzie moja Andżelita, ręce jej płyną, biodra drżą. Kochanko torreadora, diabła ty w sobie masz — ach któż się z tobą upora? Wołam miłości banita, Andżelita, Andżelita" — itp. itd.

Tej świeżości, niekłamanego autentyzmu i prawdy, jaka towarzyszyła występom artystów ludowych z całego kraju — chyba nie znajdziemy już w pracy zespołów estradowych, działających w mieście. Rzecz prosta — i na wsi spotkaliśmy się z fałszywą maniera, niepotrzebną stylizacją, ambicją konkurowania z „Mazowszem" i „Śląskiem". I tu spod kolorowego pasiaka i sukmany wychodził czasem na jaw fakt, że tancerzowi zupełnie właściwie obca jest gwara i obyczaj, który reprezentuje, że po prostu przebrał się tylko w — specjalnie dla niego uszyty z zastępczych materiałów — strój wiejski. Wtedy jednak, kiedy występowały zespoły i soliści „in crudo" — wtedy ujawniało się całe piękno, jędrny dowcip, pomysłowość, talent i bogactwo kultury wiejskiej. Ci ludzie — rzecz ciekawa — nie mieli tremy. Bez tremy występowali na estradzie MDK, w telewizji, podczas koncertu laureatów. Nie mieli tremy — bo nie posiadali poczucia „sceniczności", teatralności, bo robili to, co normalnie, u siebie w domu robią każdego dnia.

„A WEZNE SIEKIERECKĘ, A ZETNE JABŁONECKĘ..."

Jest taki zespół z Łużnej, którego najstarsi, członkowie będą niedługo obchodzili 50-lecie pracy w zespole. Jest zespół z Wójtowej, którego członkowie mieszkają we wsiach oddalonych nieraz i o 10 km. Są „Pałuki" — reprezentujące zapomniany już folklor regionu. Jest zespół studencki z Krakowa, składający się z młodych góralek i górali studiujących w podwawelskim grodzie. Te zespoły pracują bez instruktora, kontynuując tradycję wyniesione z ojczystej chaty. „Starzyki" uczą „młodych" — i tak, z pokolenia na pokolenie przechodzą pieśni i ballady wiejskie, nierzadko zachowane w czystej, oryginalnej gwarze. Są ludzie, którzy poświecili życie właśnie na zbieranie zapomnianych już śpiewek i tańców — jak Jan Pieszczyński z Kąkolewa, jak Antoni Hans z Olsztyna, który od najstarszych mieszkańców Bredynki, Strvjewa i Łynowa zbiera wiadomości, o tym, jak to dawniej na weselach i zabawach tańcowano, jak „przez stołki" skakano i pokazywano „barana". Wspomniana już Zofia Glinka mówi po dziś dzień najczystszą gwarą śląską, zachowaną w Smolarni i nosi strój po dziś dzień używany na Śląsku Opolskim. Jadzia Talpa z łowickiego śpiewa, to czego nauczyła się od matki: *„Miałam ci ja kochanecka takiego jak palec, łoj kura mi go łupła, myślała że smalec. Oj kowalu, kowalu, zróbże mi wianecek, łoj żebym zamykała na głowie wianecek"*. Tematyka tych przyśpiewek i ballad obraca się wokół spraw wiejskiego życia — praca, miłość, obyczaj. Jedrny i dosadny to humor: *„Jak mi będzie, tak mi będzie, ale się ożenię. Choć mi będzie bieda potem, ale będę spała z chłopem."* Dosadności towarzyszy głęboki subtelny lirvzm: *„A wezne siekierecke, a zetne jabłonecke, a jesce raz pojade, jesce raz pojade odwiedzić te moja kochanecke. Zapukał w okienecko, a otworz kochanecko, ja jade do ciebie spać na twoje łóżecko"* — śpiewa Helena Biała.

Taniec cieszyński

Pora na dyskusję o repertuarze, pracy, zadaniach i treściach tego ruchu. Tylko wówczas bowiem Wielki Festiwal Muzyki, Pieśni i Tańca — zostawi trwały i pożyteczny ślad. Tylko wówczas dowiemy się, czym jest dziś amatorska twórczość artystyczna dla człowieka drugiej połowy XX wieku. Jak wpływa na jego mentalność, jak go przygotowuje do odbioru sztuki „zawodowej", w czym mu pomaga. Jaką rolę odgrywa w życiu wsi i miasta? Czy wypracowaliśmy już właściwe formy organizacyjne tego ruchu i czy w wystarczającym stopniu troszczymy się o jego repertuar?

Oto temat dyskusji — w roku 1961, w roku Wielkiego Festiwalu Amatorskich Zespołów Artystycznych.

ALINA GRABOWSKA

Zdjęcia:
WITOLD ROZMYSŁOWICZ

„Dzieci Warszawy"

TADEUSZ PAPIER

„ODWIEDZAM GŁUCHĄ DAWNOŚĆ...“

Ten dom stoi jeszcze, ma taki sam wygląd jak przed piętnastu, jak przed dwudziestu laty, nic się w nim na pozór nie zmieniło. Strzecha wciąż szara, postrzępiona, wróble w niej tkają gniazda, być może wymieniono ją w ciągu tych lat kilka razy, lecz deszcze i śniegi spłukują świeżość.

Ściany i komin maluje się na biało dwa razy w roku lecz i one przybierają w końcu szarą barwę. Z pewnością nie wymieniono drzewa, belki są jeszcze dobre, trzymają mocno konstrukcję. Na pierwszy rzut oka nic się tu nie zmieniło, zamkniesz oczy i zdaje ci się, że za chwilę izba zapełni się tymi samymi ludźmi, co przed ćwierć wiekiem, nie chcesz zobaczyć żarówki, widzisz lampę naftową zawieszoną nad drzwiami, świa tło jak biała ćma szuka schronienia po kątach, pod blachą palą się sosnowe szczapy, w żelaznym garnku gotuje się kartoflanka, para unosi się w izbie, drzwi skrzypią, wchodzą sąsiedzi, gospodarz częstuje tytoniem, rozkłada karty do gry.

Kogóż tu nie ma, jest Bożek, jest Kopiński, jest Kosela, jest Szafraniec który w zgrzebnej torbie donosi chleb synowi, uczy go w miasteczku, jest długonogi Gas, ten najczęściej milczy, siada przy piecu, opiera się o niego, może tak przesiedzieć paląc bez przerwy machorkę, godzinę, dwie a czasem pół dnia lub pół nocy.

„Odwiedzam głuchą dawność“, „pobielane groby“, mówi poeta, to nie jest prawdą, domy nie są grobami, „dawność“ nie umarła, ma swoje życie, powiadamy, że to historia, kto zna historię, ten nie wierzy w śmierć, który dom rodzinny umarł w sercu, żaden, wystarczy weiść tam, zobaczyć. Ten dom stoi na skrzyżowaniu dróg, jedna prowadziła do miasteczka, we wtorki jeździło się na jarmark, już od świtu fury wzniecały kurz. Chmura kurzu wznosiła się nad piaszczystą drogą, niemal do południa wisiała nad nią, wędrowała do samego miasta. Wieczorem znowu powracała, ale była już inna, mniej dokuczliwa, cichsza. To było latem, zimą jazgotały sanki. Druga droga prowadziła do gminy i do kościoła, szły zno wu nią pogrzeby i wesela, była żałobna albo weselna, płakano na niej albo się radowano. Dom przyjmował te wiejskie defilady, był świadkiem wszystkich łez i wszyst kiego śmiechu, jego ściany nasiąkały różnymi głosami. Było i trzecie rozgałęzienie drogi, prosta do lasu, to znowu inna historia, wozy skrzypiały tutaj najczęściej nad ranem, o świcie, czasem w nocy, chłopi zwozili ukradkiem drzewo z lasu, chowali się przed okiem gajowego. Każda z tych dróg była symbolem, wystarczy opowiedzieć ich historię, policzmy wozy jadące na jarmark, kto końmi, kto pieszo, pogrzeby paradne i pogrzeby z pokropkiem tylko, czyje domy wspierały belki z lasu państwowego, żeby poznać dokładnie całą wieś i jej mieszkańców, treść rozmów wie czornych i nocnych „rodaków spod strzechy“.

Rzecz charakterystyczna, inne domy były ogrodzone, miały swoje płoty, przy których schodzili się ludzie na rozmowy, ten dom może to wynikało z usposobienia jego mieszkańców, nigdy nie był ogrodzony, podwórze było otwarte, dostępne ze wszy stkich stron, chłopi obradowali przed domem, prawie na drodze, latem siadali na kamieniach, które były od lat gromadzone na budowę nowej stajni, niektórzy wybierali ziemię, kładli się na niej lub siedzieli. Późno w noc błyskały przed białą ścianą domu ogniki papierosów. W zimie naturalnie schodzono się w mieszkaniu.

W każdej wsi jest taki jeden lub dwa domy zebrań, u nas tę rolę pełnił właśnie te dom narożny. Mieszkał w nim przed wojną stójka gminny Antoni, do jego o bowiązków należała obsługa gminy, rąbał drwa, co sobo tę mył podłogi, chodził do miasteczka po pocztę. Jego chuda postać z torbą prze wieszoną przez ramię znana była szeroko, to był jedyny, stały łącznik wsi ze światem. Trzy razy w tygodniu nachodziły listy i gazety. Radio głośnikowe było tylko w szkole, trzy detektory poza tym, tuż przed wojną wybudowano linię telefoniczną do gminy. Wieś nawiedzały dziady proszalne i ułomny sprzedawca leków oraz książek, różnych wzruszających żywotów, tragedii prostych dziewcząt, których nie poślubił hrabia. Z tych wszystkich kanałów łączących wieś ze światem, najpewniejszym był Antoni i jego torba skórzana. Antoni przenosił nie tylko urzędową pocztę, między jawnymi gazetami znajdowały się broszury i ulotki, które chętnie wyłowiłby policjant. Antoni był zbyt chytry, aby dać się schwytać. Był to wysoki chłop, chudy, z pozoru małomówny, lecz biada temu, kto go zaczepił, potrafił odpowiedzieć ostro, jego powiedzonka, dowcipy żyły długo. Miał starą matkę, która była równie chuda i koścista, o niej to można powiedzieć, że czas się zatrzymał, spotkawszy ją na drodze. Po dwudziestu pięciu la tach wygląda tak samo jak dawniej, na twarzy nie przybyło ani jednej zmarszczki, zachowała dawną rzeźkość, chodzi prosto, wzrok ma tylko osłabiony i nie poznaje już starych znajomych. Jakże może poznawać, ona stoi w miejscu, nie starzeje się, a dawni młodzi ludzie mają włosy przyprószone siwizną. Antoni miał żonę, piękną dziewczynę, zazdrościli mu jej wszyscy, „piękna jak malowanie, jak obrazek“, ale to niedobre zestawienie, „obrazki“ są mdłe, obrazki — proszę zważyć na cudzysłów — rysują niepełnie, a oryginał był w istocie niezwykle piękny. Narożną izdebkę wychodzącą wprost na drogę, odnajmował szewc, chory na raka. Miał usta pocięte szramami, co pewien czas wycinano mu schorzałe tkanki, chłop znał swoją chorobę, znał wyrok, który ciążył nad nim, zachował jednak pogodę, niekonwencjonalną. Szewc mógł być bohaterem kafkowskiego „Procesu“, każdy dzień zbliżał go do nieuchronnego końca, te dnie zimowe i letnie, te wieczory, to kolejne etapy „procesu“,

lecz wszystko było w tych czasach „procesem“, uczestni czyli w nim nie tylko bohaterowie długich wieczorów. Wieczory były ciemne i noce ciemne, a przecież rzeczywistość nie mogła być szara, nie była wyzbyta kolorów, tu życie pulsowało swoim surowym rytmem. Do szewca i do stójki gminnego schodzili się ludzie, kurzyli papierosy, kręcili mocną machorkę, obmawiali innych, wyszydzali, obgadywali poli tykę, tu życie płynęło wartkim strumieniem tu było prawdziwe życie, kto poznał je dokładnie, nie starosta, chociaż miał raporty policjantów, nie policjant, chociaż miał sprawozdania tajniaków. Wspominając te cza sy, możemy rozróżnić, co w nich było przypadkowe, a co nie. Gdzieś na strychu ponie wiera się stara torba Antoniego, ona mogłaby wiele przypomnieć.

Dom stoi jak przed laty, i dziś jest nieogrodzony, biały, zaprasza jak dawniej, stara babka jeszcze żyje, patronuje nocnym zebraniom, Antoni żyje, przez parę lat po wojnie był sołtysem, nie ma szewca, umarł na raka, zginął na wojnie brat Antoniego Jan, poza tymi stratami wszyscy w tym domu się uchowali. Antoni jest już dziadkiem, wnuczki uczą się w liceum. Antoni nie potrzebuje im donosić w zgrzebnej płachcie chleba, żona Antoniego mimo upływu lat ma wciąż młody uśmiech, choć nie ten sam co kiedyś.

Kto pamięta te upalne letnie wieczory, które przeciągają się do samej północy, często do samego świtu; kto pamięta te jesienne wieczory, zaczynające się prawie od południa, kiedy słońce przechyli się na krawędź nie ba, z kominów płyną strugi dymu, na ulicy pachnie jałowcem (dym posiada taki zapach), niebo sinieje, mrok zaczyna prószyć na ziemię, pojawi się jedna gwiazda, druga, w oknie zapalą jedno światło, drugie, płomyki naftowe rzucają wąskie strugi na podwórze. Można w nieskończoność rysować tego rodzaju obrazy, każdy powie, to pamiętam, poeta napisze, tę wieś, te domy widziałem raz przed laty, poeta powie że w tym wszystkim nie ma metafory, nawet prawdy nie ma. Dziś nie widać naftowej lampy, to unikat, jest żarówka, jest radio, doprowadzono elektryczność, przez wieś idzie szosa, coraz więcej domów murowanych, Antoni — dziadek ma dużo rozleglejszą wiedzę o świecie niż dawniej, kiedy przy ciemnym świetle rozdawał partnerom zatłuszczone karty do gry. Historia domu jest żywa, opiszcie ją, widać ją wyraźnie, nie jest to tylko kwestia czasu, jak powiada krytyk — „kwestia kalendarza lecz spojrzenia“ — zapewne pewne fakty zbladły, dla niektórych przypominają fikcję, lecz w tej fikcji jest dużo realnej prawdy, umiejmy ją odczytać.

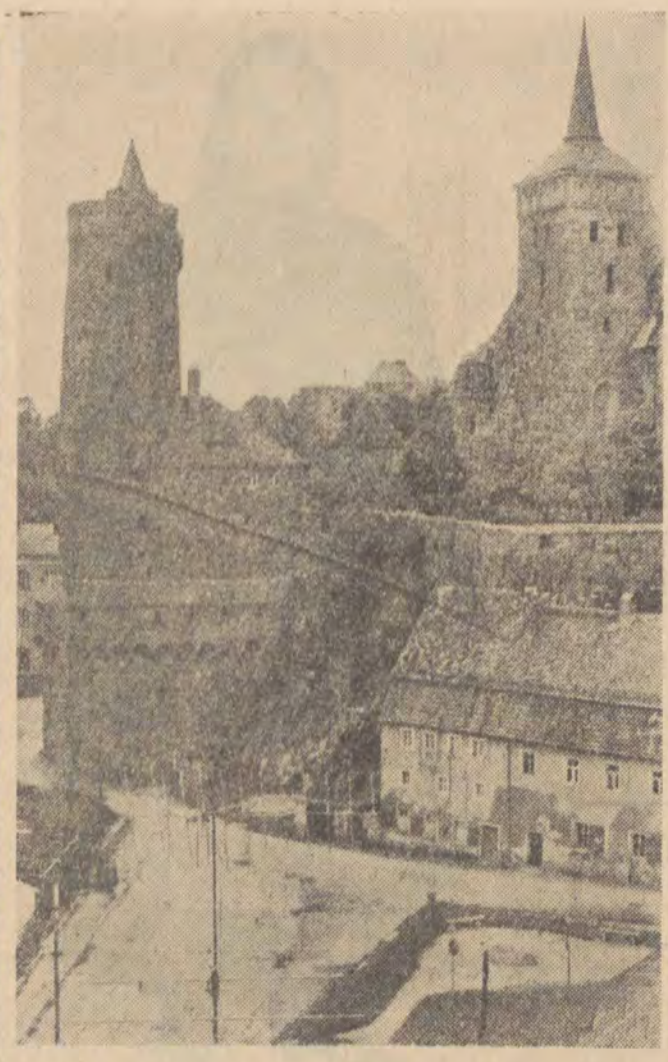

JERZY URBANKIEW CZ

BOŻE SADLESZKO

Podróżnego, który zbliża się szosą do Budziszyna, uderza fakt, że na tablicach orientacyjnych pojawiają się obok niemieckich — napisy niepolskie wprawdzie ale, o brzmieniu bliskim polskiemu uchu. „Nach Bautzen — do Budysina“. Oczywiście — Łużyce, ta jedyna w swoim rodzaju wysepka słowiańszczyzny w niemieckim morzu. I z chwilą, gdy pierwsza taka tablica mignie za oknami, pojawiają się następne, Neukirch — to Wjazonca, Hoverswerda — to Werejecy, autostrada — to awtodroha, a Drezden to nawet nie Drezno a Drjezdżany. Dwujęzyczne drogowskazy wprowadzają wreszcie w ulice miasta, potem zakręt, za nim most, na którym turysta musi się zatrzymać. Most łączy dwa brzegi głębokiej doliny Sprewy, tak głębokiej, że na wysokości mostu, na tle starego Budziszyna rysują się tylko telewizyjne anteny umieszczone na wysokich, spadzistych dachach 2 — 3 piętrowych kamieniczek. Te anteny to jeden z niewielu szczegółów nadający tej części dwunastowiecznego miasta odrobinę nowoczesności.

W r. 1018 Bolesław Chrobry zawarł tu z cesarzem Henrykiem II pokój po kilkunastoletniej wojnie o Milsko i Łużyce. Zapewne ten sam mur obronny biegł w obu kierunkach od wysokiej baszty, opasując gród wstęgą tak samo długą jak dziś, a w baszcie mieszkał dobry duch Serbów — Boże Sadleszko. Serbowie — bo takim mianem siebie określają (Niemcy nazywają ich Wendami, my — Łużyczanami) — byli oczywiście od dawna chrześcijanami, ale między polskim młotem a niemieckim kowadłem warto było mieć protektorów na wszystkich Olimpach i zapewne dlatego pogańskie obrzędy odprawiano po łużyckich puszczach nie rzadziej niż to się wówczas działo po tej stronie Nysy. Jednym z boskich protektorów łużyckich był niejaki Prżibok, który wybrał sobie siedlisko na skale tuż obok Budziszyna i zjadał jednego Niemca rocznie. Nie było to wiele, ale niewątpliwie zasługiwało na uznanie i sympatię ludności.

Więc tą oto drogą wiodącą ku głównym wrotom ciągnął poczet królewski. Od strony rzeki stała drużyna, dodając świetności wjazdowi króla. Donośne sygnały na trąbach i bębnach głosiły ważność chwili, a błyskające na murach groty dopełniały obrazu potęgi. Bolesław dobrze wiedział że w zmaganiach o samodzielność i koronę decydującą rolę odegrała przewaga nad cesarzem w trzech długich wojnach. Ale wiedział też zapewne, że w wypadku takich spotkań — przepych i oznaki siły w znacznej mierze decydują o powodzeniu planów politycznych. Może na tamtym brzegu lśniły tarcze pocztu cesarskiego? Może poczet ten wiódł palatyn Ezon — teść Bolkowego syna? Jemu to należało pokazać, że słowiański książe jest silnym partnerem w antycesarskiej opozycji.

A nad porosłą gęstym lasem górą Bielobob wznosi się słup dymu — to hołdujący starym bogom wieśniacy palą nieboszczyka na stosie. Pewni bezkarności, gdyż wszyscy panowie i duchowni poszli króla witać i na przyjazd cesarza się pogapić.

Może to przy tej okazji pobytu w Budziszynie Chrobry wezwał Serbów do siebie, dziękował im za pomoc w wojnie, zaciągnął do drużyny, a wydarzenie to stało się tematem pieśni, którą dziś jeszcze można usłyszeć nad górną Sprewą:

„Wšitkich on jara je wuchwalował
Do swojch wojaków wšitkich ich wzał“.

Historia Łużyc zaczęła się o wiele wcześniej niż zdarzyły się sprawy tu opisane. Pierwszy historyczny h ł o w n i k czyli władca Serbów — Derwan oparł się w r. 630 frankońskiemu Dagobertowi. A Karol, syn Karola Wielkiego uległ innemu władcy Łużyczan — Miliduchowi. Tak więc walka z zachodnimi napastnikami weszła do

historii Łużyc wcześniej niż wykształciło się pojęcie niemczyzny. Walka ta trwała aż do końca ostatniej wojny. Statystyki XIX wieku mówią o liczbie 180 tys. Serbów. Dziś oblicza się ich na 100 tys. Dwujęzyczne napisy stanowią jeden z dowodów uzyskanej w NRD autonomii kulturalnej. Tę dwujęzyczność można też znaleźć w nazwiskach Serbów: A więc: Smoler — Schmaler, Krawc — Schneider, Wicaż — Lehman.

Jeśli chodzi o najnowszą historię tego kraju, to w 1945 r. w rejonie Nizka — Budziszyn wojska nasze stoczyły ciężki bój z odstępującą armią niemiecką. Stąd pochodzi nazwa II Łużyckiej Dywizji Artylerii.

Kobiety łużyckie słyną z urody. Oto jedna z nich w czarnym ludowym stroju z białymi akcentami siada na skuter i mknie w stronę Wjazonicy. My za nią. Ale nam uciekła, czego dowodem — brak tak atrakcyjnego zdjęcia Łużyczanki na skuterze.

Więc zakończę informacją, że uciekła przez ulicę Klary Zetkin, co po łużycku brzmi: „Klara Zetkinoweje droha".

JERZY URBANKIEWICZ

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

Kolorowe Miasteczko

Ledwo zdążyłem przywitać się z wczasowiczkami, gdy na rynku zatrzymał się samochód. Wysiadł z niego starszy pan o szpakowatych włosach. Za nim zobaczyłem młodego człowieka w ciemnych okularach. Dziewczęta pobiegły w kierunku przybyłych.

Posłyszałem jak starszy pan pytał:

— Jak długo Piaskowo istnieje? Czy panie tutejsze? Czy są tu jakieś zabytki?

Wczasowiczki albo chichotały, albo odpowiadały: „O tak, stare miasto, ma chyba ze sto lat" lub: „A tak. Jest. Jest zabytek". Poczem wybuchały nie wiadomo dlaczego śmiechem.

Podszedłem do szpakowatego pana i przedstawiłem się. Panienki wyjaśniły nieznajomemu, że jestem korespondentem powiatowej gazety.

— Aha! To dobrze! Przynajmniej jest ktoś z prasy. Pan najlepiej będzie mnie mógł poinformować.

Odciągnął mnie nieco na bok, zostawiając rozchichotane wczasowiczki z młodym człowiekiem w ciemnych okularach.

— Jestem Groned — powiedział. — Reżyser.

Nie byłem tak bardzo pewny czy mam przed sobą prawdziwego Groneda. Znałem jego filmy. Ale żeby Groned czegoś szukał w Piaskowie?...

— Panie! Mam fantastyczny pomysł filmowy — mówił scenicznym szeptem.

— Pan rozumie... Małe miasteczko... — ciągnął dalej. — Zapomniane przez cały świat... Brudne, biedne, odrapane... szare... ciche... Miasteczko w którym nic się nie dzieje. Rozumie pan?

— I w tym miasteczku przewodniczący...

— Niech pan nie przerywa — skarcił mnie niezadowolony. — Otóż w tym to miasteczku przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej wpada na fantastyczny pomysł, pan rozumie, na fantastyczny pomysł urządzenia...

— ...jubileuszu. Dla uzyskania, naturalnie, dotacji rządowych — dokończyłem.

— Panie! — ryknął Groned. — A pan skąd o tym wie? Jak. Istotnie — mówił dalej. — Ale niech pan słucha. Tymczasem w prasie ukazuje się wiadomość o jubileuszu wielowiekowego istnienia miasteczka, choć nikt z jego mieszkańców nie może powiedzieć na pewno czy istnieje ono nawet od stu lat.

W miarę jak mówił rosło moje zdumienie.

— Otóż traf sprawia, że mieszka tu stary dziwak...

— ...który od lat żyje tym wszystkim, co odnosi się do przeszłości miasteczka i folkloru jego okolic. Posiada zbiory, które....

— Panie! Pan mnie zdumiewa — krzyknął Groned.

Akcja powieści pt. „Kolorowe miasteczko" — która ukaże się w najbliższym czasie nakładem „Czytelnika" — rozgrywa się w fikcyjnym Piaskowie, gdzie przewodniczący MRN, dla uzyskania dotacji rządowych, organizuje jubileusz Tysiąclecia, choć nikt z mieszkańców nie wie czy miasto istnieje choćby nawet od stu lat. Wiadomość zostaje ogłoszona w prasie. Wśród przygotowań do obchodu, następują zdarzenia nieoczekiwane dla samych organizatorów. Senne dotąd Piaskowo, ożywia się i budzi szersze zainteresowanie. Między innymi przybywają tu także wczasowicze. Bohater powieści redaktor Jeremi Skierka jest właśnie na rynku, gdzie poznaje pierwsze przybyłe do Piaskowa wczasowiczki.

— Skąd pan o tym wie? Skąd pan może znać treść mojego scenariusza? Przecież dopiero wczoraj wróciłem z Paryża. Wpadła mi tam do ręki polska gazeta, w której znalazłem zaledwie notatkę o tym, że małe miasteczko Piaskowo, urządza jubileusz. Resztę wymyśliłem lecąc samolotem. A dziś tu jestem... Opowiadać panu dalej?...

— A może ja spróbuję panu opowiedzieć — zaryzykowałem. — Otóż w okolicy znajduje się posąg Posejdona, który niegdyś był własnością miasteczka...

— Nie... nie... — krzyknął machając rękami reżyser... — U mnie nie ma posągu...

— Uprawiane chałupniczo od lat rzemiosło wikliniarskie — mówiłem — przeżywa teraz swój renesans mówi się nawet o eksporcie na rynki zagraniczne wytworów miejscowych...

— Nie... nie — zaprzeczył. — Podobnie, ale nie tak. U mnie jest garncarstwo. Rozumie pan? Garncarstwo. Otóż według mego scenariusza odmalowane miasteczko oczekuje wycieczek, gości krajowych i zagranicznych.

Do odświeżonych pokojów, przygotowanych na wypadek przyjazdu gości wnosi się pluszowe kanapy i wiesza makatki z jeleniami na rykowisku...

— Skąd pan o tym wie — zawołałem teraz ja w wielkim zdumieniu. — Skąd pan o tym wie?

— Skąd wiem, skąd wiem? — zaśmiał się reżyser. — Ja właściwie nie wiem. Ja tylko sobie wyobrażam.

Rozglądał się teraz po rynku. Uważnie, jakby namyślając się czy notując sobie w pamięci wygląd różnokolorowych kamieniczek, drewnianych domków, fragmentów budowli. Ni stąd, ni zowąd odezwał się: „Gioconda w farmerkach", „Szczerbiec wyczyszczony Sidolem" Nie, to nie to.

Coś w tym jest, ale to jeszcze nie to.

— Posejdon pomalowany na olejno — dopowiedziałem.

— Co takiego?

Wspomniałem o projekcie przewodniczącego pomalowania posągu greckiego boga morza.

— Posejdon pomalowany na olejno — powtórzył w zamyśleniu. — Tak. To już bliżej tego co mam na myśli.

Znów przyjrzał się kolorowym domkom. Przyszło mi do głowy, aby zapytać, czy mu się to podoba.

— Czy pan, panie reżyserze, uważa że teraz rynek jest ładny czy brzydki,

— Ładny... brzydki... — ryknął niespodziewanie Groned. — Ładny... brzydki... Dobre sobie! Co to znaczy brzydkie?... Oto rozumowanie. Ładne... brzydkie... szukanie gotowych scen i szablonów, ciepłe kluski, letnia woda.

Krzyczał coraz głośniej:

— Już czas, aby przestać oceniać zjawiska estetyczne w kategoriach gotowych, zastałych, konwencjonalnych formuł. Nie ma ładnego i brzydkiego, rozumie pan?...

Zbliżał się ku mnie tak rozsierdzony że miałem zamiar uciekać, gdy Groned nagle ochłonął. Przypatrzył się przez chwilę budynkowi, który zajmowała apteka.

Była to budowla staroświecka. Obramowania okien i drzwi, gzymsy i ozdoby pomalowano nieco jaśniej, co znakomicie akcentowało proporcje i harmonijną symetrię secesyjnej kamieniczki. Pastelowe kolory podkreślały lekkość linii architektonicznych.

Ale wzrok Groneda przeniósł się i zatrzymał dłużej na starym domu, gdzie mieściła się fryzjernia. Buda, która przypominała mi zawsze starą szkapę, teraz pomalowana była na różowiutko.

— Patrz pan — mówił Groned — ten dom to pretensjonalna starucha która urożowiła sobie policzki. No co? Ładne... brzydkie?... — wrzeszczał. — Rozumie pan — wołał pokazując na różowy dom — to ohyda, ale to coś mówi, to ma jakiś wyraz. Rozumie pan, jakiś wyraz.

Niewiele z tego rozumiałem, ale reżyser mówił dalej, to ciszając głos, to krzycząc:

— O! Niech pan patrzy! Co za zestaw barw! — wskazywał ręką buraczkową drogerię i stojący obok ciężki i bryłowaty dom, pomalowany na pomarańczowo. — Toż to gryzie się ze sobą. Nie uważa pan?

— Uważam — powiedziałem niepewnie, bojąc się, że Groned znów zacznie krzyczeć.

— A widzi pan! A jakie miał pan wrażenie, kiedy pan wchodził na rynek jeszcze dwa miesiące temu? Monotonii i nudy, tak? A teraz spójrz pan na całość, zakręć pan tym rynkiem! Puść w kolisty ruch kamieniczki. Niech zawirują!

Spojrzałem na niego, nic nie rozumiejąc.

— Chce pan? Pokażę to panu. Chodźmy!

Podeszliśmy do auta. Reżyser powiedział coś do szofera. Gdy wsiedliśmy samochód natychmiast ruszył.

— Niech pan patrzy! — wołał Groned wskazując mi ręką ściany mijanych domów.

Szofer nacisnął klakson i ze strasznym rykiem wirowaliśmy po rynku. Spostrzegłem uciekających, kryjących się po bramach ludzi. Nabieraliśmy coraz większej szybkości. Płaszczyzny kamienic zamieniały się w pędzące barwne plamy, te zaś w kolorowe smugi. Niekiedy zwalnialiśmy jazdę, smugi zmieniały się na powrót w plamy, które malały, to znów nagłym skokiem zwiększały się, by w następnym momencie znowu się skurczyć. Pędziły, wirowały. Kolory nakładały się na siebie, pożerały jedne drugie, przemieniały się w wibrujące, drgające, wirujące pasma. Splatały się i rozplatały. Szofer to zwalniał to przyśpieszał pęd maszyny a wtedy i barwne płaszczyzny zwalniały tempo swego ruchu układały się rytmicznie w te lub inne warianty wolniej lub szybciej wirujących kolorów. Kamieniczka drogerii strzelała ostrym buraczkowym kolorem jakby zaznaczając takt wśród pasma przesuwającej się żółtości i zieleni. Dom fryzjerni, różowiutki, rozpełzał się w jasną smugę drgającą na podkładzie pastelowej, mało widocznej wstęgi koloru bladego seledynu.

Kiedy na moment przymknąłem oczy miałem pod powiekami obraz wirujących plam, smug, kół drgających kolorowych powierzchni, rytmicznej przemiany kształtów, barw i ich tonów.

— Dość! — ryknął reżyser i samochód zatrzymał się.

Wysiedliśmy z auta.

— No i co? — spytał.

— To było jak... jak... — szukałem określenia. — To było jak obraz taszystowski — powiedziałem.

— Taszyzm malarstwo abstrakcyjne, formy idealne, bezprzedmiotowe! Panie! — krzyknął. — Są tacy którym się zdaje, że wystarczy nachlapać śleś tam bezkształtnych plam, aby to było dzieło sztuki. Abstrakcja! Abstrakcja! — wołał ironicznie. — Zrobili z tego mistykę i jeżeli płótno nie przypomina żadnego z realnych przedmiotów, to już jest obraz. Bzdury! Nowoczesna sztuka jest obrazem świata widzianego w ruchu! Rozumie pan? Jeszcze w ubiegłym stuleciu widziano go statycznie. Był to świat widziany przez człowieka stojącego w miejscu,

Dokończenie na str. 10

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Cmentarzysko z czasów Kazimierza Odnowiciela

Prof. K. Jażdżewskiemu

— Ej, wojowie martworuscy, żelażni kościeje
Spod tramwaju w Lutomiersku, gdzie się nic nie dzieje
Piach wam zlepił oczodoły, myśmy zlep rozbili,
Z jelców rdzewkę wyczesali, lęk nafta obmyli,
Oznaczyli na czym śpicie i jak wam się leży
I zmierzyliśmy już wszystko, co się dało zmierzyć —
A nie wiemy, jaka zamieć, wiatry suchowieje
Naniosły was tu, pod szyny, gdzie się nic nie dzieje?
Jakich godeł broniliście, kiedy przyszło ginąć?
Czy tęsknicie za Niepr-rzeką, za mateńką siną?

— Nie pojęlim, o czym prawisz, w dziwnym sarafanie
Ty z łopatką czystogęby jak baba diw-panie.
Jarosława pytaj — kniazia, Mudryj on — wie wszystko.
Rzekł kniaź: Bratu Kazimiru pokłońcie się nisko
I powiedzcie, niech wziąć raczy jak rzecz radowłasną
Wasze tarcze krasnolice i krew wasza krasną!
Kniaź Kazimir wziąć nas raczył, bilim, kogo kazał,
Krasną krew kniaziowi dali, toporem żelaza...
Potem poszliśmy, jak trzeba, na służbę do ziemi...
Czy tęsknimy? — pytaj kniazia. My tego nie wiemy.

Zmarszczki

Tylko oni pozostali
poczciwiny
uczepili się głowy i kończyn
i nie chcą odejść ku skwierczącej świecy
A to już zupełne safanduły
i tyle mają przywar
Ten
dziś rano nie umiał odróżnić
kleiku od koraminy
Ten
istny pień
Ten
zawsze taki estetа
skąd u licha te skatologiczne zamiłowania
Ten
nigdy nie przejawiał zbytniej ciekawości
do widoków ekstraordynaryjnych
a teraz wciąż zezuje na koniec świata
Ten
rozbrajająco przywiązany
nie opuszczał go nawet
w chwilach najintymniejszych zetknięć z kobietą
Jakiż dziś z niego nieznośny mantyka
Nie chcą odejść
nie i nie
Ale już i na nich czas
odstępują i klękają pod świecą
na końcu Dotyk
Uścisnął go z szorstką serdecznością
i wyszedł na palcach.
Jest po raz pierwszy w życiu sam.

Ceremonia powtarza się co miesiąc

ALEKSANDER BATOROWICZ

UPIORY pod strażą

● Jeden dyrektor na pięciu zatrudnionych ● Najdrożsi na świecie więźniowie ● Projektują domki i piszą wiersze ● Wariat, czy genialny symulant

Historia powtarza się co miesiąc. Dwa plutony żołnierzy stają naprzeciw siebie, dowódcy z przesadną grzecznością wymieniają honory wojskowe, ustępujący informuje następcę, że wszystko jest w porządku, następuje ceremonialny uścisk dłoni i oddziałek w hełmach opuszcza dziedziniec, zaś patrole w furażerkach zaciągają posterunki wzdłuż wysokich murów. Czterdziestoosobowa grupa stanowi główną siłę, chroniącą więzienie o 600 celach. Uzupełnia ona dwudziestu stałych strażników, składających się w równej liczbie z Rosjan, Amerykanów, Anglików i Francuzów. Do tego dochodzi czterech dyrektorów (najwyższy wskaźnik na świecie!) w randze oficerów sztabowych, tych samych narodowości, dwóch kucharzy Włochów i fryzjer Holender. Jak na kompleks kilkunastu budynków i kilkuset cel nie jest to zbyt duży personel. A mimo to więzienie w Szpandau jest najdroższym na kuli ziemskiej. Roczne utrzymanie każdego więźnia kosztuje 22 tys. dolarów. Rzecz bowiem w tym, że podopiecznych jest jedynie trzech...

NUMER 1 NIE ZNA SWOJEJ TWARZY

Numer 5! — rozlega się głos strażnika po rosyjsku, lub angielsku. Po chwili Albert Speer, hitlerowski specjalista od zbrojeń odpowiada: — Obecny! Głos więźnia rozlega się głucho wśród pustych korytarzy, strażnik wypełnia odpowiednią rubrykę w formularzu sprawozdawczym, gdyż każdy obchód jest dokładnie rejestrowany i wędruje do następnej celi. Aby wywołać więźnia numer 7, czyli Rudolfa Hessa, byłego zastępcę Hitlera, Rosjanin lub Anglik musi przebyć długą drogę. Ze względów bezpieczeństwa wszystkie cele zajęte przez więźniów znajdują się na parterze i w znacznej od siebie odległości, tak że nie ma mowy o wyskoczeniu przez okno, czy też próbach kontaktu bez świadków. Po sprawdzeniu obecności Hessa strażnik przechodzi dalsze kilkadziesiąt metrów i upewnia się, czy Baldur von Schirach, więzień nr 1, dawny przywódca młodzieży faszystowskiej III Rzeszy, nie spłatał jakiegoś figla...

Strażnik mechanicznym ruchem zatrzaskuje teczkę z formularzami i ziewa. Jakże może nastąpić jakaś niespodzianka, kiedy każdy z więźniów jest dzień i noc obserwowany, a żadne jego poruszenie nie może ujść uwagi.

Strażnicy wiedzą zresztą w wielu wypadkach więcej o podopiecznych, niż oni sami. Żaden z nich np. od czternastu lat, tzn. od przekroczenia progu więzienia w Szpandau nie widział swojej twarzy. Każdy więzień jest codziennie golony, ale regulamin surowo zabrania dostarczania więźniom lusterek, ba, nawet przebywania w pobliżu zwierciadeł. Podobne środki ostrożności zastosowano w odniesieniu i do innych przedmiotów, które mogłyby posłużyć do przecięcia żył.

Rodziny zastępują więc lustra. Cztery razy do roku udzielane są zezwolenia na spotkanie z najbliższymi. Jest wtedy okazja do przekazania informacji: — Przybyła ci zmarszczka pod prawym okiem... — Zgarbiłeś się. Zdarzyło się, że syn Baldura von Schiracha dopiero po 11 latach widzeń zapomniał o przyrzeczeniu złożonym matce i oświadczył:

— Jesteś ojcze siwy, jak gołąbek...

— Coś takiego — odpowiedział więzień. — To jest dla mnie niespodzianką...

GAZETY Z ZACHODU I WSCHODU

Hess, prawa ręka krwawego kanclerza (skazany na dożywotnie więzienie), Speer, który realizował gigantyczny program zbrojeń przy pomocy milionów przymusowych robotników i von Schirach, który wychowywał młodzież niemiecką na zdobywców i zbrodniarzy (obaj mający odbyć kary po 20 lat więzienia) przebywają w warunkach, o których nie śniło się żadnej z ich ofiar. Codziennie rano otrzymują cztery gazety („Frankfurter Allgemeine", „Die Welt", „Kurier" i wschodnio-niemiecki organ KC SED „Neues Deutschland"). Gazety są czytane uprzednio przez kierownictwo więzienia, wszystkie wiadomości dotyczące okresu faszystowskiego wycina się skrupulatnie.

Bonzowie III Rzeszy starają się przetrwać w jak najlepszej kondycji fizycznej. Pomaga im w tym świetne wyżywienie, a także przeforsowany przez zachodnie mocarstwa regulamin, który zezwala Speerowi na pracę w ogródku warzywnym i projektowanie... domków jednorodzinnych w oparciu o najnowsze czasopisma dla architektów.

Były projektodawca wyrzutni rakiet V-1 i V-2 wymalował też niedawno swoją celę na kolor zielony, gdyż doszedł do przekonania, że musi... oszczędzać wzrok.

Von Schirach pisze w więzieniu wiersze i wyspecjalizował się w rozwiązywaniu krzyżówek. Hess zaś walczy z nudą... wariowaniem.

RUDOLF HESS — NIE ROZWIĄZANA ZAGADKA

Jedni twierdzą, że więzień numer 7 jest skończonym idiotą, inni oceniają go na wpół zwariowanego, są też tacy, którzy uważają Hessa za genialnego symulanta.

67-letni samotnik bardzo rzadko rozmawia ze swymi kolegami, zajmuje się astrologią, czyta wciąż tę samą książkę o pielęgnowaniu zdrowia i uparcie odmawia przyjmowania wizyt rodzinnych. Większość lekarzy jest zdania, że Hess stanowi typowy okaz paranoika i tym tłumaczą fakt przeplatania się u niego okresów zakłóceń psychicznych z normalnymi.

Czy jednak Hess jest chory psychicznie?

Od 20 lat przebywa już w więzieniu. Po raz pierwszy zniknął za kratami w roku 1941 po słynnej ucieczce do Anglii i w celu poprowadzenia na własną rękę rokowań pokojowych. Wówczas to Hitler ogłosił Hessa wariatem i Anglicy podzielili to zdanie. Kiedy Hess stwierdził, że rząd angielski nie zamierza z nim pertraktować, stracił nagle pamięć. To samo powtarza systematycznie w Szpandau.

Odbywa się to tak:

Amerykański dyrektor inspekcjonuje ogródek więzienny. Hess, który go dobrze zna, zwraca się nagle do von Schiracha:

— Kto jest ten młody człowiek?

— Ależ panie Hess, przecież pan dobrze wie, że to amerykański dyrektor. Przebywa u nas od dawna...

Hess wzrusza ramionami i podchodzi do Speera:

— Myślę, że pan von Schirach chce ze mnie zrobić idiotę. Twierdzi, że ten młody człowiek jest amerykańskim dyrektorem. Niech pan powie uczciwie, panie Speer, kto to właściwie jest?

Speer oczywiście potwierdza, że mają do czynienia z dyrektorem, na co Hess złości się i dziwnie zarazem uśmiecha.

Innym razem w bibliotece, posiadającej ciągle te same książki Hess twierdzi, że nadeszły nowe pozycje i nie wie, którą wybrać. Któregoś dnia pyta, kto to był Bismark. Speer wyjaśnia ironicznie, że to był facet, który wynalazł... pewną potrawę ze śledzi. W odpowiedzi Hess rumieni się i wychodzi zatrzaskując drzwi.

Nie wiadomo: nie nie zrozumiał, czy rozzłościł się, że nie udała mu się wielka gra.

Dziwne postępowanie Hessa trwa tygodniami i nagle pewnego poranku zaczyna odpowiadać normalnie, wszystko wie i rozumie.

Nie wiadomo: nagły przebłysk świadomości, czy znużenie wielką grą?

Jeszcze jedna wątpliwość. W rozmowach Hess zachowuje się często po wariacku, ale nie zdarzyło się, aby jego listy do rodziny były nienormalne. Przeciwnie — są one rozsądne, pełne trafnych obserwacji i wniosków.

A więc znów: wielka gra o wspólne opuszczenie murów Szpandau wraz z von Schirachem i Speerem, czy dziwna choroba?

* * *

Życie w najkosztowniejszym więzieniu świata, które utrzymuje zachodnioberliński senat i które stanowi w chwili obecnej jedyne miejsce w Niemczech, gdzie funkcje kontrolne sprawowane są przez cztery mocarstwa solidarnie, jest dość monotonny. Ale Szpandau, to jeden z bardzo nielicznych już przykładów konsekwentnego realizowania uchwał denazyfikacyjnych przez wszystkie wielkie mocarstwa. Nie podoba się to wielu kołom Niemiec zachodnich. Stąd głosy wzywające do zlikwidowania tego więzienia. Zakusy te rozbijają się o konsekwentne stanowisko Związku Radzieckiego, uważającego, że wyrok sądu norymberskiego musi być wykonany do końca. Co miesiąc więc nadal na dziedzińcu w Szpandau jedno mocarstwo przekazuje drugiemu trzech starych, upiornych więźniów.

STANISŁAW KASZYNSKI

LIRYKA pogodnego znużenia

Tadeusz Gicgier

Ostatni tomik Tadeusza Gicgiera,*) nobliwie przygotowany przez Wydawnictwo Łódzkie, jest zjawiskiem, które zasługuje na uwagę. Mnie interesuje przynajmniej z dwóch względów. Załamuje w sposób dokuczliwie klarowny jakąś intymną i gorzką świadomość przemijania, rejestruje językiem opanowanej determinacji — udręki — że tak to nazwę — życiowego półmetka. Po wtóre, Gicgier, jak żaden z jego rówieśników, pozostał i w tych wierszach nieczuły na syreni śpiew eksperymentatorów i pokazał odporność wobec wszelakich pokus tzw. „nowoczesności", która ma już dziś tyle imion, co hiszpańscy grandowie z czasów Filipa. Są ludzie, dla których historia muzyki kończy się na Beethovenie — czy wolno posądzić ich o niemuzykalność? Więc nie posądzam Gicgiera o brak wrażliwości. W tej jego postawie może się przejawiać zdrowy instynkt samoobrony przeciw ekstrawagancjom współczesności albo też jego osobowość poetycka zdołała tak okrzepnąć iż na inne widzenie siebie i świata nie starcza już ochoty. Oto poeta przywiązany mocno do tradycji. I środki wyrazu, jakimi się zręcznie posłuży i całe metier jego doznań, krzyżują się z nią wplatują się w jej korzenie i wybłyskują w gałęziach. Gicgierowskie krystalizacje są jednak dalszym ciągiem tej tradycji, bo choć eksplikują nasze współczesne wzruszenia, to przecież robią to w jakimś sklasycyzowanym ujęciu. Dlatego obecny Gicgier nie przypomina dawnego poety impulsywnych wyznań, jakby strof gotowości, choćby z tomu „Garść ziemi" (1957). Tak niebezpiecznie przypisywać poetom przodków, nigdy nie da się precyzyjnie ustalić, co, kiedy, z kogo. Robię ten nietakt i mówię: Gicgier lubi często wchodzić w tonacje Staffa z późniejszego okresu. Magnetyzuje go ów klimat nastrój, obrazowość. Nie jest jednak poszukiwaczem prawdy, nie powtarza horacjańskiej propozycji „carpe diem", nie ma również w jego liryce tego, co Staff przejął od poetów antyku i renesansu, radości i smutku przemijania. Pozostała natomiast ochocza smakowana pewność, iż oczekiwać można już tego, co się nie stanie („Oczekiwanie"). Ten motyw chanson triste raz po raz przechodzi w requiem zawraca aż do dzieciństwa i biegnie ku śmierci („W campingu nad morzem"). Są to sytuacje, kiedy wprost samobójczo potęguje się przeświadczenie o nieuchronności stopniowego unicestwiania egzystencji, i tylko w zapomnieniu szuka się ocalenia. W zapomnieniu bo Gicgier wie, iż nie ma tu ratunku, że można tylko uciekać na niby i patetycznie oszukiwać się inwokacją („Wróć mi zwyczajny urok życia"...). Gicgier anuluje każdą iluzję, nawet trójkąt jego serdecznych oczarowań (dzieciństwo, ojciec i matka, syn), centrum mikrokosmosu poety wywołuje i miłość i żal. W tym natrętnym szukaniu dysonansów istnienia nie odczuwa się grozy i leku „czystej" egzystencji, to raczej rezultat bardziej bezpośrednich doświadczeń i przeżyć.

Swoisty neoklasycyzm Gicgiera nie ostyga w skodyfikowanej strofie i w przyjętych układach fabularnych. Poeta próbuje otwierać te ramy, zmieścić się w luźnych kompozycjach, nęcących większą swobodą, nie korzysta jednak często z tych furtek, wierny starym, ale mądrym przepisom poetyckiej gry. Miękka i potoczysta fraza — oto nurt jego uzewnętrznień, ujmujących wdziękiem szczerości i pięknem prostoty. Zna także sucha, brutalną relację, szyk rzeczowej kroniki (Cykl szpitalny).

Krzykliwym orędownikom nowoczesności, którzy żywią się uparcie okruchami z cudzych stołów i każdy swój wiersz gotowi są proklamować jako produkt wyrafinowanej awangardy poezja Gicgiera wydaje się wtórna. Nie należy się dziwić. Często w wysokiej cenie bywają grymas i poza, bełkot i nonszalancja, czy jednak aż tyle płacić?!

*) „WYJMIJ MNIE Z CZASU", Łódź 1961, s. 46, cena 5 zł.

3 WYWIADY NA JEDEN TEMAT

W związku z kończącą się sesją egzaminacyjną w wyższych uczelniach powiedzieli nam:

Pani Henryka Pałka — studentka I roku Wydziału Chemii Spożywczej Politechniki Łódzkiej:

Po drugim semestrze rok nasz miał „do zdania" dwa egzaminy. Dzięki dobremu rozplanowaniu czasu w okresie sesji egzaminacyjnej i w ciągu roku udało mi się zdać obydwa. Muszę jednak przyznać, że dużo zawdzięczam szczęściu.

Pan mgr Marek Adamiec — asystent Zakładu Ekonomii Politycznej przy PŁ:

Porównując sesję tegoroczną z poprzednimi można zauważyć, że utrzymuje się mniej więcej ten sam procent ocen niedostatecznych z egzaminów (około 30 proc.). Mając jednak na uwadze stały wzrost wymagań stawianych egzaminowanym muszę stwierdzić podniesienie się poziomu studentów. Nasz przedmiot (ekonomia polityczna) sprawia wyjątkowo dużo trudności studentom politechniki, co wynika z jej odmiennego od przedmiotów technicznych charakteru. W tym roku jednak i w naszej dziedzinie dzieje sie lepiej co jest być może zasługą ostrzejszych rygorów stawianych studentom po V semestrze.

Student III roku Wydziału Chemicznego PŁ (prosił o nieujawnianie nazwiska):

Sesja po VI semestrze obejmowała na naszym wydziale sześć egzaminów. Duża ilość zajęć w ciągu roku (około 50 godzin tygodniowo) uniemożliwiła przygotowanie się nie tylko do egzaminów ale i do kolokwiów. Stąd znaczą część kolokwiów trzeba zdawać dopiero w czerwcu, a egzaminy przełożyć na wrzesień. Przeciętny student jest w stanie zdać w czerwcu najwyżej połowę egzaminów. Całe szczęście, że regulamin naszych studiów dzieli egzaminy na sesyjne i pozasesyjne. Gdyby nie to, nie wyobrażałbym sobie ukończenia studiów politechnicznych.

Rozmawiał: **de Jot.**

Najostrzejsze ołówki świata

LOTHAR URSINUS

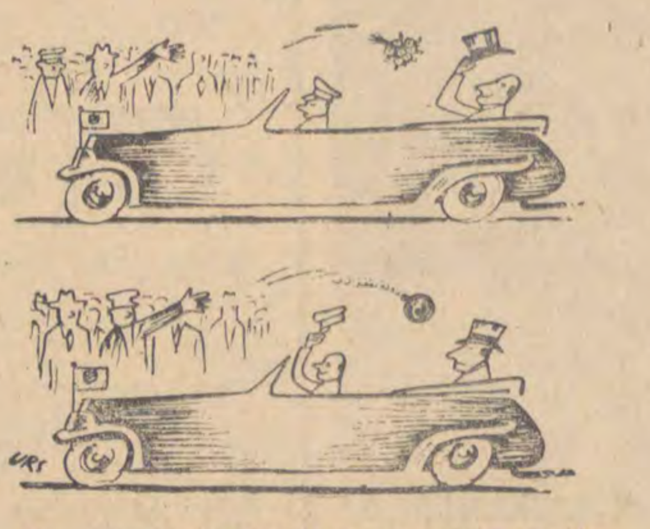

W prawo — zwrot!

Urs — tak podpisuje dziś swe rysunki znany niemiecki rysownik — był świeżo upieczonym studentem Akademii Sztuk Pięknych ,gdy wybuchła druga wojna światowa. Traf chciał, że zaraz na początku dostał sie do niewoli aliantów i przesiedział za drutami całe dziewięć lat.

Kiedy powrócił z jenieckiego obozu, był już człowiekiem całkowicie dojrzałym i ukształtowanym. Początkowo wykorzystywał swój talent w grafice reklamowej, rychło jednak okazało się, że ta dziedzina twórczości nie daje ujścia wrodzonym Ursinusowi skłonnościom do satyry i karykatury. W latach 50-tych Urs poświęca się całkowicie rysowaniu dowcipów.

Choć w żartach tych dominuje element humoru — to przecież ustawicznie dochodzi w nich do głosu pasja satyryka. Obsesją Ursinusa, ujawniona w setkach rysunków — jest niemiecki militaryzm. Ursinus zawzięcie drwi z pruskiej soldateski, a przy okazji — obrywa też niemiecka burżuazja i mieszczaństwo.

Oczywiście — nie tylko te cechy decydują o sukcesach żartów Ursinusa, wielu zwolenników zjednuje mu wyrafinowana pomysłowość, przy jednoczesnej prostocie i lapidarności rysunków.

(j-ert)

informacje i zaczepki

Kilka dni temu uczniowie łódzcy „przystąpili — jak podała prasa — do ataku na stare papierzyska"; wyobrażamy sobie ile przy okazji ulegnie zniszczeniu cennych pozycji bibliofilskich. ■ W ubiegłym tygodniu gościł w Łodzi na zaproszenie łódzkich studentów poeta Władysław Broniewski. ■ Pan Tomasz Klepa pogniewał się na Jerzego Lessmana z „Expressu" za nieprzychylną recenzję z naprawdę nie najlepszej wystawy plastycznej; ponieważ p. Klepa jest prezesem Towarzystwa Przyjaciół Sztuki—oburzenie owo traktujemy jako zwykłą działalność prezesa. ■ Warto obejrzeć dwie ciekawe wystawy fotograficzne: B.J. Dorysa eksponowana przy ul. Piotrkowskiej 102 oraz wystawę fotografii greckiej w lokalu PTF przy ul. Struga 2. ■ Szanse dla utalentowanych artystów-amatorów dała zorganizowana ostatnio interesująca akcja komisji kultury Komitetu Łódzkiego ZMS pod nazwą „Szukamy nowych talentów". ■ Niedawno odbył się w popularnej księgarni „Pegaz" wieczór poświęcony pamięci Włodzimierza Pfeiffera — łódzkiego księgarza i esperantysty. ■ Dwie trzecie nagrody na Ogólnopolskim Festiwalu Kapel Pieśniarzy i Tancerzy Ludowych otrzymały zespoły z powiatów łęczyckiego i łowickiego. ■ Jak donosiła prasa codzienna gazety angielskie zaczęły znów pisać o słynnym wężu morskim. Jak widać więc. sezon ogórkowy zbliża się nieuchronnie: czas więc wszczać dorocznym zwyczajem dyskusję prasową na temat upowszechniania kultury — czując koniunkturę zaprasza do niej Alina Grabowska z „Głosu Robotniczego". ■ „Słupek napięcia z każdą minutą szedł w górę" — informuje Czytelników sprawozdawca sportowy jednej z łódzkich gazet: dalej znajdujemy „katastrofalne położenia, imponujące finisze, sypiące się pociski i radykalnie zmieniające się sytuacje" — możliwe że sport to rzecz pasjonująca, jednak lektura prasy sportowej jest za to o wiele weselsza. ■ Siedmiu łódzkich lekarzy otrzymało z okazji XV-lecia Służby Zdrowia MSW odznaczenia za prace naukowe.

WIL.

BAgatelki

Smutna megalomania

Zanotujmy „Wydarzenie" na które rzekomo Łódź od lat czekała. Oto ostatnie „Wiatraki" dodatek literacki do ukazujących się w Bydgoszczy „Faktów i myśli" poświęcone sa Łodzi literackiej. Zaszczyt to dla łódzkich pisarzy i łódzkiej literatury niewątpliwy, a i korzyść spora, bowiem sam ob. Wiśniewski Józef Henryk ryk, który wyboru materiałów dokonał, pokusił się o przyrządzenie artykułu wstępnego. W owym artykule ob. Wiśniewski Józef, Henryk nie tylko poinformował społeczeństwo o aurze, która (jak zwykle) twórcom nie sprzyja, o „Odgłosach", które są dowodem jak bardzo Łódź nie ma szczęścia do tygodników, ale równocześnie wyraził swoje zdanie — jako znawca i teoretyk — na temat wydarzeń w łódzkiej kulturze na przestrzeni wieków. Wydarzeń tych było trzy:

1. Broniewski, Stande i Wandurski oraz ich działalność w Łodzi.

2. Działalność grupy a. r. ze Strzemińskim i Przybosiem.

3. Działalność grupy literackiej „Nowa linia" z Wiśniewskim i Frejdlichem.

Działalność grupy a.r. już niejednokrotnie była przedmiotem rozważań i ocen — że przypomnę tu tylko artykuł Piechala w najwłaściwszy chyba sposób wprowadzający tę mocno rozdętą historię do właściwych proporcji. Obywatelowi Wiśniewskimu podoba się jednak dalsze dęcie. Czyni to więc ułatwiając sobie zadanie, przypisując — jak się zdaje — tej grupie nie tylko wielkie obszary oddziaływania, ale i liczebnie ją zwiększa, nie wymieniając żadnych nazwisk poza tymi, do których grupa w rzeczywistości się ograniczała. To lekkie cieniowanie rzeczywistości znajdziemy również w akapicie dotyczącym wielkiego wydarzenia w kulturze nie tylko Łodzi ale i w kraju, jeśli już nie w Europie. Mowa o grupie literackiej „Nowa linia". Członków tej grupy (a zna ich krąg najbliższych znajomych) nazywa Wiśniewski pisarzami, skromnie przemilczając że są to (poza Zbigniewem Kosińskim) ludzie zaledwie w piśmiennictwie raczkujący.

Oto wydarzenia kulturalne! Sam autor artykułu Józef Henryk Wiśniewski — poeta mający na swym koncie jedną pozycję książkową zresztą nie samodzielną, Konrad Frejdlich — autor kilku drukowanych w prasie wierszy i reportaży, oraz Henryk Pustkowski — którego jedyną pozycją drukowaną jest recenzja zamieszczona na łamach naszego tak niedobrego tygodnika. Razem grupa literacka „Nowa Linia".

W świetle faktów artykuł Wiśniewskiego mógłby się wydać dość śmieszny, gdyby nie to, że wydrukowano go poza Łodzią, w piśmie o ogólnopolskim zasięgu. Czytelnik niezorientowany może być nim po prostu oszukany. Wiśniewski zarzuca tendencyjność „Nowej Kulturze" nie bacząc na to, że materiał jakim zapełnił „Wiatraki" został (nie ujmując nic prezentowanym, uznanym i dojrzałym pisarzom) dobrany w sposób równie skrzywiający obraz łódzkiej literatury jak sam artykuł wstępny. Dość powiedzieć, że figuruje tam m.in. wiersz obywatela Jana Gronowieckiego, który po pierwsze nie jest łodzianinem, a po drugie nie jest poetą.

Jeśli już na nic nie zdają się apele wzywające do skromności i przyzwoitości to warto chociaż zaapelować, aby łódzkie, tak często ustrojone wielkości, w swych wystąpieniach na zewnątrz kierowały się choć zasadą prostej dziennikarskiej uczciwości.

MAW.

ZAGADKA TYGODNIA

Dziś zagadka literacka. Ma ona jednak również charakter nieco geograficzny. Chodzi bowiem o to aby połączyć nazwiska znanych pisarzy z określonymi miejscami, z którymi wiązało ich zarówno życie jak i literacka legenda. A więc z jaką miejscowością związani są:

1. MIKOŁAJ REJ:
- a) Wolbórz
- b) Nagłowice
- c) Płock

2. KONSTATNY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI:
- a) Opatów
- b) Anin
- c) Łańcut

3. JULIUSZ SŁOWACKI:
- a) Kraków
- b) Krzemieniec
- c) Genewa

4. JAN KASPROWICZ:
- a) Warszawa
- b) Pińczów
- c) Harenda

Rozwiązania wyłącznie na kartkach pocztowych należy nadsyłać w terminie tygodniowym. Wśród Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania rozlosowane zostaną nagrody książkowe.

Nasza KRZYŻÓWKA

Poziomo — 5) Kierownik drużyny sportowej, 8) Kraj w Afryce, 9) Np. jabłko, 11) Produkt asfaltowy lub smołowy, używany w budownictwie do klejenia papy, klepki podłogowej itp., 12) Wzniosły sposób wyrażania się, 14) Imię męskie, 6) U Rzymian starożytnych nazwa długiej sukni kobiecej, 9) Duży garnek, 22) Centralne miejsce w cyrku, 26) Odnoga Wisły, 27) Sadzawka, 28) Cyklon zwrotnikowy, 29) Grecki odpowiednik rzymskiego Marsa, 30) Zapalenie krtani, tchawicy i oskrzeli, 33) Fenicka bogini urodzaju, 34) Znak wysokości na mapie, 36) Płynie w pobliżu stolicy Armenii, 38) Droga bita, 40) Podziałka, 43) Stanowiska służbowe przewidziane w stałym składzie liczbowym pracowników danej jednostki organizacyjnej, 44) Rysa, pęknięcie, 47) Worek na pieniądze, 49) Papuga, 51) Oznajmujący, rozkazujący, warunkowy, 52) Część dłużu, 53) Gliniany instrument muzyczny.

Pionowo — 1)Daszek nad kominem, 2) Poezja opisowo-bohaterska, 3) Część nogi, 4) Jest w świecy, 6) Imię żeńskie, 7) Przeszeregowanie do wyższej grupy uposażenia, 8) Gaz błotny, 10) Karnawałowe zabawy w niektórych miastach Włoch i Francji lub szeroka, piękna ulica miasta będąca miejscem spacerów i przejażdżek, 13) Tkanina, 15) Pies myśliwski, 17) Roślina błotna, 18) Zwierzę, 20) Dowódca janczarów, 21) Świadectwo, pisemne zaświadczenie o ukończeniu zakładu naukowego, ukończeniu służby, sprawowaniu się itp., 23) Jedwabna lub półjedwabna tkanina, 24) Pieczara, 25) Ognisko góralskie, 26) Notatnik, 31) Góry na pograniczu Europy i Azji, 32) Słup, 34) Zwierzę domowe, 35) Ustoiny, fusy, 37) Jednostka wagi drogich kamieni, 39) Zwierzę afrykańskie, 41) Ptak, 42) Zwierzę lub jedna z dwunastu konstelacji, zodiaku, 45) Kaftan, 46) Kontur, 48) Środek nasenny, 50) Olejek różany.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

TADEUSZ GICGIER

F-R-A-S-Z-K-A

czy się komuś podoba, czy się nie podoba fraszkę dzisiaj drukuje Gicgier lub Doroba

Przeciw Kochanowskiemu czyli nowe obyczaje

Poeta może być wszeteczny,
byle rym jego był stateczny.

Redaguje Zespół ◇ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ◇ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 86. Tel. 244-79 ◇ Warunki prenumer.: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— ◇ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ◇ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17 ◇ Zam. 1888 VI. L-4

„PRZECHADZKA

Hanna Bedryńska i Michał Pawlicki

MIĘDZY

Brawa dla teatru telewizji. Brawa dla łódzkiego spektaklu komedii Michała Choromańskiego „Przechadzka między dobrem a złem". Ten kameralny utwór sceniczny przystosowany do wymogów telewizji przez Władysława Orłowskiego, w reżyserii Jerzego Antczaka, nabrał znów aktualnego sensu a absurdalny humor Choromańskiego który nie bez kozery mógłby się uważać za ojca Sławomira Mrożka — gdy idzie o gatunek dobrego spektaklu. A dobry spektakl to zasługa aktorów, reżysera, operatorów. Więc o aktorach słów parę. Hanna Bedryńska — śliczna, urocza, egzaltowana mieszczka tworzyła z Michałem Pawlickim parę zupełnie nonsensowych zakochanych. Michał Pawlicki z Ludwikiem Benoit — więźniem piszącym liryczną powieść kryminalną w celi więziennej, stworzyli parę niepowtarzalnych filozofów, których cięte uwagi na temat szczęścia, jakie daje jedynie więzienie, przejdą do skarbnicy polskich powiedzonek. Obsada doborowa i świetnie się przed kamerami spisująca, nawet wtedy kiedy gubiła po drodze słowa tekstu.

Hanna Bedryńska i Wiesław Machowski (Józio)

DOBREM a ZŁEM"

Jaki aktualny sens miało wystawienie komedii Choromańskiego? Po co przerywnikiem muzycznym była modna dziś melodia „Mału kwiatek"? „Przechadzka miedzy dobrem a złem" w adaptacji dzisiejszej stała się satyrą na drobnomieszczańskie urządzenie się we współczesności, na tworzenie sobie spokoju za wszelką cenę, na wygodnictwo i ugodowość moralną. Nie bez przyczyny reżyser (i autor!) położyli nacisk na postacie więźniów, którym życie w więzieniu wydaje się być lepsze niż bytowanie w świecie takich ludzi jak Józio. A czy Józiów mamy dziś mało wokół nas? Chciałoby się ich wskazać palcem!

Para więźniów filozofów Benoit i Pawlicki

Zdjęcia: Paweł Nowakowski

Redaktor Jerzy Panasewicz donosi z Torunia

TELEWIZJA dobrą CIOTUNIĄ?

„Wysoka fala telewizji" idzie przez całą Polskę. Czy myślicie, że tylko w Łodzi dyrektorzy teatrów uskarżają się na spadek frekwencji? Gdzie tam, uskarżają się na to dyrektorzy z całej Polski, oni to wymyślili użyty na wstępie zwrot, oni to z rozpaczą w sercu liczą wyrastające na dachach ich miast telewizyjne anteny.

Ale nie koniec na tym, nie telewizja — podobnie zresztą film — są konkurencją dla teatru. Teatr bowiem, oczywiście teatr artystyczny, zawsze był, jest i niewątpliwie pozostanie imprezą deficytową, instytucją wymagającą mecenatu, dopłaty finansowej. Natomiast film i telewizja są dochodowe. Przynoszą zyski, ogromne nieraz.

Stąd w odczycie wygłoszonym w Toruniu na Festiwalu Teatrów Polski Północnej, zwracał uwagę Edward Csato na pewne, chyba interesujące sugestie, jakie zaczynają się ostatnio mnożyć. Otóż jeżeli teatr jest deficytowy, telewizja zaś i film bazują jakoś na teatrze, czerpią z niego aktorów, reżyserów i scenografów, eksperymentują na nim i na nim się w jakimś sensie szkolą — czy bidula teatr nie powinien zostać w przyszłości utrzymankiem cioci-telewizji i wujaszka-filmu?...

Jest to, rzecz jasna, sprawa przyszłości, może nawet dalekiej, ale problem — wbrew pozorom — nie sprowadza się do przekładania z jednej kieszeni do drugiej, nie sprowadza się do zabiegu li tylko formalnego. Jest to również problem organizacyjny, problem nakładów na kulturę, wreszcie problem ustawienia gaż aktorskich.

W Związku Radzieckim jest — przykład tak, że gaże aktorskie są wyłączone z budżetu teatru, a aktor opłacany niejako bezpośrednio przez państwo. Stąd teatr osiągnąć może nawet — w naszym rozumieniu pozorne — dochody, gdy wpływy przekroczą koszty eksploatacyjne samego przedstawienia.

Przy koncepcji mecenatu filmu i telewizji nad teatrami, gaże aktorskie byłyby wobec tego wypłacane niejako przez film i telewizję, takie problemy jak wynoszenie aktorów, odszkodowania płacone teatrom (nie myślę tu o samych stawkach za role filmowe czy telewizyjne) przestałyby istnieć. Dalej — nie byłoby problemu czy telewizyjna „Judyta" realizowana przez Warszawę może bądź nie może iść na Łódź, ze względu na przygotowywaną premierę tejże sztuki — przez Teatr Nowy. Znikłby problem retransmisji telewizyjnych i targów wokół retransmisji. Reżyserzy telewizyjni częściej i mniej przypadkowo mogliby szlifować swój warsztat w teatrze, i odwrotnie — reżyserzy teatralni w telewizji.

Słowo daję, podoba mi się ta idea, choć rozumiem doskonale, że zmiana struktury finansowej to praca na całe lata, że rzecz należy do przyszłości i tylko do przyszłości jeżeli w ogóle jest realna i sensowna. Zdawało mi się jednak, że zreferować ją jakoś — warto.

J. P.

SZKOLNE AUDYCJE TELEWIZYJNE entuzjastycznie przyjęte przez pedagogów

Przedstawiciele prasy zostali ostatnio poinformowani o efektach szkolnego eksperymentu telewizji, mianowicie o prowadzonym programie telelekcji. Ogółem nadano 36 takich lekcji, a liczba odbiorców wynosiła 1041, więc stosunkowo niewiele jak na możliwości telewizji. Oczywiście to już sprawa posiadania odbiorników przez szkoły, i sprawa przekonania personelu nauczycielskiego o sensie i korzyściach takich lekcji. Telewizja rozesłała do szkół odbierających program lekcyjny specjalną ankietę. Nauczycielstwo przyjęło telelekcje entuzjastycznie, traktując je jako pierwszorzędną pomoc naukową. Szczególnie w szkołach wiejskich, których procent w liczbie odbiorców programów szkolnych wynosi 85, szkołach na ogół źle wyposażonych, pozbawionych najprostszych pomocy naukowych — lekcje telewizyjne z dziedziny chemii i fizyki, stanowiły ogromną pomoc dla nauczyciela, a jednocześnie ogromną atrakcję dla młodzieży.

W nadchodzącym roku szkolnym telewizja nada ogółem 94 programy szkolne: 24 lekcje fizyki i chemii, 20 — języka polskiego, przy czym na ten przedmiot złożą się cztery cykle — z nich najciekawszy to cykl wielkiej literatury dramatycznej — fragmenty dzieł Sofoklesa, Szekspira, Moliera, Corneille'a, Słowackiego, Wyspiańskiego, Gorkiego i Kruczkowskiego. Dwanaście lekcji obejmie cykl historyczny, 17 biologiczny, 14 geograficzny, oraz 7 terminów rezerwowych. Audycje szkolne wznowione zostaną 3 października br., wcześniej jednak wszystkie szkoły, które pragną korzystać z audycji szkolnych powinny już teraz nadesłać do Naczelnej Redakcji Programów Oświatowych Telewizji Warszawskiej pisemne zgłoszenia. W sierpniu br. telewizja roześle do wszystkich, którzy się zgłoszą, pisemny plan tematyczny na cały rok, co umożliwi radom pedagogicznym wprowadzenie audycji telewizyjnych do planu zajęć na cały rok.

TELEwizja

PROGRAM na najbliższe dni

29. VI. 61 R. CZWARTEK

17.55 Program dnia (Ł)
18.00 „Jacy oni są" — Młodzieżowy program publicystyczny z Poznania (P).
18.40 Teatrzyk dla Przedszkolaków pt. „Gryś i Pyś" (powt. z 17. III. 60 r.) (W).
19.05 „Sonety instrumentalne Witolda Hulewicza" program pt. „Klarnet" (W).
19.30 Dziennik Telewizyjny (W).
20.00 Z cyklu „Fakty i poglądy" — program pt. „421 pierwszy kilometr" z Gdańska. Opracowanie Tadeusza Kolińskiego (G).
20.40 PKF (W).
20.50 Teatr „Kobra" z Katowic. Widowisko „Dr Bevorley" autor — Louis Verneuil, adaptacja TV. Jacka Lorentowicza, reżyseria — Pawła Konorowskiego, scenografia — Wiesław Lange
21.45 Spotkanie ze współczesnością (W).
22.30 Ostatnie wiadomości (W).

30. VI. 61 R. PIĄTEK

17.40 Program dnia (Ł).
17.45 Reportaż z Gdańska pt. „Port" — w opracowaniu Tadeusza Kolińskiego (G).
18.15 Program dla dzieci — 1) „Kolorowe okładki", 2) Film krótkometrażowy produkcji franc. „Przygoda Zuzi" (Ł).
19.10 „Pierwszy krok w życie" — progr. publicystyczny (Ł)
19.30 Dziennik Telewizyjny (W).
20.00 Młodzieżowe Studio Poetyckie (W).
20.30 Wszystkie dni tygodnia (Ł — lek.).
21.00 „Wszyscy jesteśmy sędziami" (W).
22.00 Ostatnie wiadomości (W).

1. VII. 61 R. SOBOTA

17.45 Program dnia (Ł).
17.50 Niezastąpiony kamerdyner" — film fabularny prod. angielskiej (od 12 lat) (W).
19.30 Dziennik Telewizyjny (W).
20.00 „Kochenkowie z Lizbony" — film fabularny produkcji francuskiej (czytany) (W).
21.50 PKF (W).
22.10 Ostatnie wiadomości (W).
22.15 „Dyliżansem na zachód" V program z cyklu: „Raz, dwa, trzy" w reżyserii Jana Kulczyńskiego (W).

2. VII. 61 R. NIEDZIELA

15.00 „Niedzielna Biesiada" (Ł).
16.00 „Życiorys Kaczora Donalda" — film z serii „Disneyland" (W).
16.50 Polska Kronika Filmowa (W).
17.00 Filmy dla dzieci: 1) „Psotny kotek" — prod. polskiej, 2) „Szpak i jego pan" — prod. NRF, 3) „Karaluszysko" — prod. polskiej (K).
17.30 „20 pytań" — teleturniej z Łodzi (Ł — ogół.).
18.30 Sprawozdanie z meczu piłki nożnej o mistrzostwo I Ligi „Ruch — Górnik" z Katowic (K).
21.20 Dziennik Telewizyjny (W).
21.05 „Złodziej z Bagdadu" — film fabularny prod. angielskiej (W).
22.50 Wiadomości sportowe (W).

OGLĄDAJĄC TELEWIZJĘ NAD MORZEM WŁÓŻ TAKI SWETER. WAKACYJNE WIECZORY BYWAJĄ CHŁODNE.

Kolorowe miasteczko

Dokończenie ze str. 7

idącego pieszo, jadącego powozem lub dyliżansem. A dziś z auta, z samolotu. Z auta pędzącego sto i więcej kilometrów na godzinę. Rozumie pan? To może śmieszne — powiedział, zastanawiając się — a może tylko godne uwagi, że w tym wasz małym miasteczku, gdzie samochody widuje się nie tak znowu często, powiało duchem naszej zmotoryzowanej epoki.

Zauważyłem, że jest zmęczony. Dzień był ciepły i duszny.

— Chodźmy do gospody — zaproponowałem.

Zgodził się. Przyniesiono nam piwo. Ilekroć przymykałem oczy, miałem jeszcze pod powiekami wirujące płaty kolorów. Po chwili reżyser odezwał się:

— Niech no mi pan jeszcze raz króciutko opowie wszystkie wydarzenia u was w Piaskowie od czasu ogłoszenia w prasie notatki o jubileuszu. Opowiedziałem mu. Myślał przez chwilę, potem rzekł:

— Wie pan co? To nawet miejscami lepsze niż mój scenariusz. Proponuję panu współpracę. Bierz pan pióro i napisz pan konspekt noweli filmowej.

Widząc, że nie rozumiem, wyjaśnił:

— Proszę napisać króciutko to, o czym pan mi mówił.

Po kwadransie wręczyłem mu konspekt.

Przebiegł wzrokiem po zapisanej kartce.

— Dobrze — powiedział. — Będziemy filmować.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

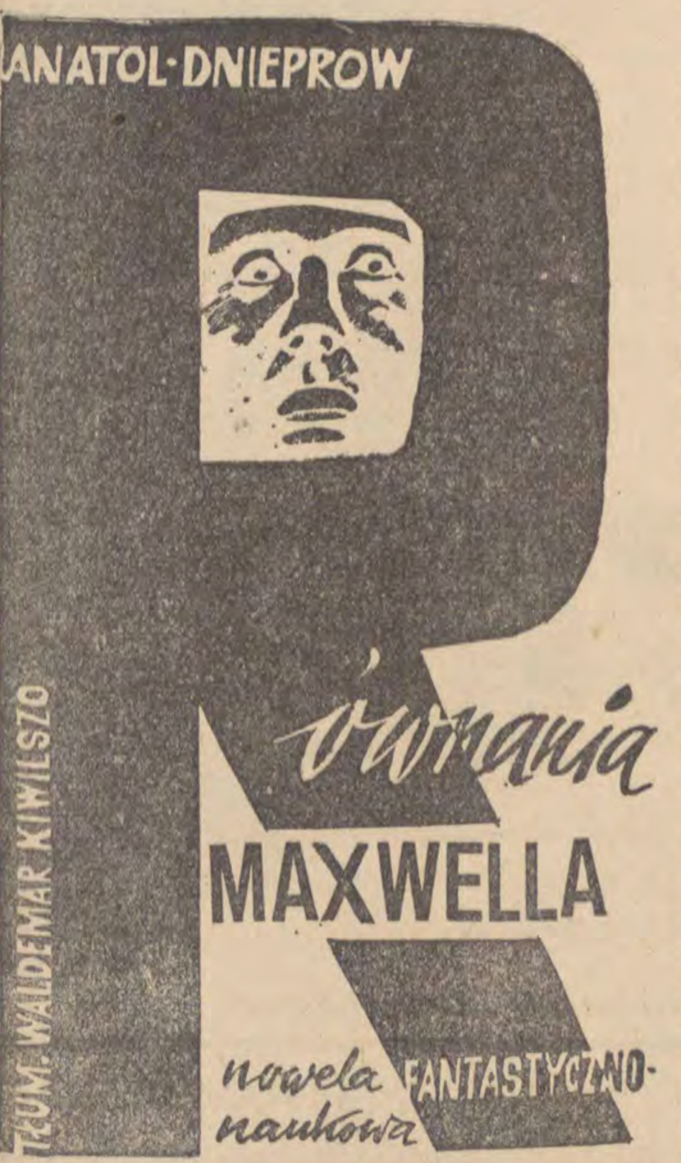

Streszczenie

Wybitny matematyk, profesor Rauch zostaje schwytany przez zbrodniarzy wojennych, Kraftstudta i spółkę, którzy zorganizowali ośrodek zatrudniający ludzi o wyraźnych zdolnościach matematycznych. W oczach świata profesor Rauch uchodzi za zmarłego (w wypadku samochodowym); jego zdjęcie w żałobnych ramkach umieściły gazety. Co proponują profesorowi zbrodniarze i jak zakończy się ta przygoda?

Uśmiechnąłem się.

— Przyszedłem do niego wcale nie po to, by wypominać mu jego przeszłość. Jeśli chce pan wiedzieć, byłem ciekaw czegoś innego. Chciałem poznać ludzi, którzy tak wspaniale rozwiązali...

— Proszę usiąść, panie profesorze. O tym właśnie chciałbym z panem porozmawiać.

Usiadłem na krześle, jakie mi wskazano, i zacząłem przypatrywać się siedzącemu naprzeciwko mnie za szerokim biurkiem uśmiechniętemu panu Bolzowi. Był to typowy przedstawiciel Niemców z północy, o pociągłej twarzy, jasnych włosach i wielkich niebieskich oczach. W rękach obracał papierośnicę.

— Tutaj, u naszego szefa, kieruję wydziałem matematycznym — rzekł.

— Pan? Pan jest matematykiem?

— Tak, trochę. W każdym razie coś niecoś orientuję się w tej dziedzinie.

— To znaczy, że za pośrednictwem pana będę mógł poznać tych... —

— Ależ zna ich pan już przecież, Rauch — rzekł Bolz.

Spojrzałem na niego, nic nie rozumiejąc.

— W ich towarzystwie spędził pan cały wczorajszy dzień i całą dzisiejszą noc.

W tej chwili przypomniała mi się sala z tymi ludźmi, bredzącymi samymi impulsami i kodami.

— Czy chce pan we mnie wmówić, że ci wariaci to właśnie owi genialni matematycy, którzy rozwiązali mi równania Maxwella?

I roześmiałem się, czekając odpowiedzi.

— Niemniej jednak to właśnie oni. Ostatnie pana zadanie rozwiązał niejaki Denis. Zdaje się, że wczorajszego wieczoru właśnie on urządził panu wykład z neurocybernetyki.

Na chwilę popadłem w zamyślenie, wreszcie rzekłem:

— Wobec tego nic już nie potrafię zrozumieć. Może mi pan to wyjaśni?

— Z miłą chęcią. Ale dopiero po tym, jak pan to przeczyta, Rauch. — I Bolz podał mi świeży numer porannego wydania gazety.

Rozłożyłem powoli płachtę i nagle poderwałem się z krzesła. Z pierwszej strony gazety spoglądała na mnie... moja własna podobizna, obwiedziona czarną żałobną ramką. Pod moim zdjęciem wybity wielkimi czarnymi literami tytuł obwieszczał: „Tragiczna śmierć profesora fizyki doktora Raucha".

— Co to ma znaczyć, panie Bolz? Co znów za komedia — zawołałem.

— Proszę, niech się pan uspokoi. Wszystko jest bardzo proste. Wczoraj wieczorem, gdy powracał pan ze spaceru nad jeziorem i przechodził przez most nad rzeką, napadło na pana dwóch wariatów, którym udało się zbiec z „przybytku mędrców". Zamordowali pana, zmasakrowali ciało i wrzucili do rzeki. Dzisiaj rano znaleziono pana przy tamie. Ubranie pana, rzeczy osobiste i dokumenty pozwoliły na stwierdzenie tożsamości. Dzisiaj policja przeprowadziła dochodzenie w „przybytku" i wszystkie okoliczności pańskiej tragicznej śmierci zostały wyjaśnione.

Popatrzyłem w tej chwili na swój ubiór, złapałem się za kieszenie, i dopiero w tej chwili stwierdziłem, że miałem na sobie jakiś cudzy garnitur, i że moje rzeczy, jak i dokumenty zginęły mi z kieszeni.

— Ależ to bezczelne łgarstwo, oszustwo i...

— Tak, tak, tak. Zgadzam się z panem całkowicie, ale cóż robić, panie Rauch, cóż było robić? Firma Kraftstudta bez pana mogłaby ponieść poważne straty, a kto wie nawet, czy nie zbankrutować. Otrzymaliśmy taką masę zamówień. Wszystkie mają charakter wojskowy i opiewają na wielkie sumy. Trzeba obliczać, obliczać i obliczać... Po rozwiązaniu pierwszych zadań dla Ministerstwa Wojny zarzucono nas dosłownie zamówieniami na obliczenia.

— Więc panowie życzą sobie, żebym stał się kimś takim, jak ten wasz Denis i inni?

— Nie, oczywiście że nie, panie Rauch!

— Więc po co to wszystko?

— Jest nam pan potrzebny jako wykładowca matematyki.

— Wykładowca?

Bolz kiwnął głową, zapalił papierosa i wolniutko wypuścił z ust smużkę dymu, przyglądając mi się ironicznie.

— Potrzebne nam są kadry matematyczne, profesorze. Bez nich daleko nie zajedziemy.

W milczeniu spoglądałem na Bolza. Nie wydawał mi się już tak sympatyczny, jak poprzednio. W jego pogodnej i dosyć pospolitej twarzy zacząłem dostrzegać jakieś ukryte rysy zezwierzęcenia, ledwie uchwytne, ale stopniowo biorące górę nad tym, co na pierwszy rzut oka nadawało jego fizjonomii wyraz pogody i szczerości.

— A jeśli się nie zgodzę? — zapytałem.

— Byłoby to bardzo niedobre. Obawiam się, że wówczas musiałby pan stać się jednym z naszych... e-e... obliczeniowców.

— A czy to aż takie złe? — zapytałem.

— Tak — odrzekł Bolz stanowczo i wstał. — Byłoby to równoznaczne z tym, że życie swe zakończy pan w „przybytku mędrców".

Bolz przeszedł się kilka razy po pokoju i zaczął mówić, jakby prowadził wykład.

— Możliwości obliczeniowe mózgu człowieka są po stokroć większe, niż możliwości elektronowej matematycznej maszyny cyfrowej. Miliard komórek matematycznych kory mózgowej, cały aparat pomocniczy, jakim jest pamięć, zdolności kojarzenia, logika, intuicja i tak dalej — czyż cały ten mechanizm można porównać z jakąkolwiek bądź nawet najdoskonalszą maszyną? Jednakże w jednym maszyna posiada istotną wyższość.

— Jaką? — spytałem, nie rozumiejąc do czego zmierza.

— Jeśli w maszynie elektronowej zepsuje się, powiedzmy, jedna komórka trygerów lub nawet cały ich register, można wymienić lampy, powymieniać opory i pojemności a maszyna znów zacznie pracować. Jeśli natomiast w głowie człowieka wypowie posłuszeństwo jedna choćby tylko komórka lub ich grupa, wykonująca funkcje obliczeniowe, niestety, nie da się już ich wymienić. Z przykrością trzeba stwierdzić, że jesteśmy zmuszeni żądać od trygerów mózgu pracy niezwykle intensywnej i dlatego też, jeśli można się tak wyrazić, szybkość ich zużycia wyraźnie wzrasta. Żywy aparat obliczeniowy bardzo szybko ulega wyniszczeniu i...

— I co wówczas?

— Wówczas nasz obliczeniowiec trafia wprost do „przybytku".

— To przecież nieludzkie! To zbrodnia! — zawołałem głośno.

Bolz przystanął przede mną, położył mi rękę na ramieniu i uśmiechając się szeroko rzekł:

— Profesorze, tutaj musi pan zapomnieć te wszystkie słowa i pojęcia. Jeżeli pan nie zapomni ich sam, zmusimy pana do tego.

— To wam się nie uda! — krzyknąłem odtrącając jego rękę.

— Nic pan nie zapamiętał, nic pan nie skorzystał z wykładu Denisa. A szkoda.... Mówił przecież całkiem do rzeczy. A propos, czy wie pan, co to jest pamięć?

— Czy to ma jakiś związek z naszą rozmową? Po jaką cholerę, wszyscy tu udajecie wariatów? Do czego to wszystko...

— Pomięć, panie profesorze, to długotrwałe utrzymywanie się jakiegoś sygnału w grupie neuronów dzięki sprawnemu działaniu połączeń odwrotnych. Sygnał elektrochemiczny, który obiega w głowie człowieka w danej grupie komórek przez dłuższy przeciąg czasu — to jest właśnie pamięć. Pan jest fizykiem, którego interesują procesy elektromagnetyczne w ośrodkach złożonych i pan nie potrafi zrozumieć, że przez zanurzenie głowy w odpowiednim polu elektromagnetycznym można zahamować obieg w dowolnej grupie komórek. Nic prostrzego. Możemy zmusić pana nie tylko do tego, by zapomniał pan wszystko co pan wie, lecz także, by przypomniał pan sobie to, czego pan nigdy nie znał. Jednakże nie leży w naszym interesie uciekanie się w wypadku pana do takich... e-e... powiedzmy sobie, eksperymentalnych sposobów... Mamy nadzieję, że zwycięży w panu zdrowy rozsądek. Firma będzie płaciła panu przyzwoite udziały ze swoich dywidend.

— Za co? — spytałem.

— Powiedziałem już — za wykłady z zakresu matematyki. Spośród bezrobotnych, których na szczęście zawsze mamy w kraju pod dostatkiem, zorganizujemy klasy po dwadzieścia — trzydzieści osób. Będą to ludzie, wykazujący wyraźne zdolności matematyczne. Następnie w ciągu trzech, czterech miesięcy przeszkolimy ich w zakresie wyższej matematyki...

— To jest niemożliwe — oświadczyłem — to absolutnie wykluczone. W tak krótkim czasie...

— To jest możliwe, panie Rauch. Proszę wziąć pod uwagę, że będzie pan miał do czynienia z audytorium, złożonym z ludzi bardzo pojętnych, dobrze rozwiniętych umysłowo, o cudownej pamięci matematycznej. Postaramy się już o to. To leży w zakresie naszych możliwości...

— Czy także w drodze eksperymentów? Przy pomocy generatora do przekazywania impulsów — spytałem.

Bolz skinął głową.

— Więc jak, zgadza się pan?

Przymknąłem oczy. A więc, Denis i ci wszyscy z sali, to normalni ludzie i wszystko, co wczoraj mi opowiadali, to prawda. To znaczy, że Towarzystwo Kraftstudta rzeczywiście nauczyło się rządzić myślami człowieka, jego wolą, uczuciami przy pomocy pól elektromagnetycznych, wysyłających impulsy.

Czułem, że Bolz spogląda na mnie z uwaga i musiałem natychmiast powziąć decyzję. To było potwornie trudne. Jeżeli zgodzę się, wypadnie mi nauczać ludzi matematyki po to, by potem w drodze sztucznego przymusu rozchodowywali forsownie swoje umiejętności myślowe, aż do zupełnego wyniszczenia, do zupełnego zużycia żywej substancji mózgu. Po czym na resztę swoich dni muszą trafić do „przybytku". Jeśli zaś odmówię, to właśnie taki los mnie czeka.

— Jak więc, zgadza się pan? — powtórzył Bolz, trącając mnie w ramię.

— Nie — oświadczyłem stanowczo. — Nie. Nie mogę być współuczestnikiem tej potwornej historii.

— Jak pan uważa — rzekł z nutą żalu. — Bardzo mi przykro...

Po chwili wstał energicznie zza biurka, podszedł do drzwi i uchyliwszy je zawołał:

— Eider, Schrank, chodźcie tutaj!

— Co pan zamierza ze mną zrobić? — spytałem podnosząc się z krzesła.

— Na początek zrobimy panu spektrum, by poznać, jaki jest kod sygnałów dla pana ustroju nerwowego.

— To znaczy?

— To znaczy, opracujemy pana dane, dotyczące rodzaju, siły natężenia i częstotliwości impulsów, decydujących o każdym stanie intelektualnym i duchowym.

— Nie pozwolę na to. Będę protestował. Będę...

— Zaprowadźcie profesora do laboratorium doświadczalnego — obojętnym głosem wyrzekł Bolz i odwrócił się w stronę okna.

Gdy znalazłem się w laboratorium eksperymentalnym firmy Kraftstudta, powziąłem postanowienie, które w ostatecznym rachunku miało odegrać poważną rolę w całej tej koszmarnej historii. Pomyślałem sobie tak. Zaraz zrobią ze mną coś takiego, co da w ręce Kraftstudta i jego bandy dane, dotyczące mojej struktury psychicznej. Będą próbowali ustalić poprzez jakie formy działania fal elektromagnetycznych na mój ustrój nerwowy można wywołać u mnie te lub inne wzruszenia, przeżycia i doznania. Jeśli powiedzie im się to w pełni, wówczas w sposób bezapelacyjny znajdę się w ich władzy. Jeśli zaś nie, to będę jeszcze w stanie zachować pewną dozę niezależności osobistej, która wymknie się spod ich kontroli. W przyszłości może mi się to bardzo przydać. Tak więc będę musiał starać się za wszelką cenę wyprowadzić w pole tych ultrauczonych bandytów, popsuć im szyki. Powinno mi się to udać w jakimś stopniu. Nie na próżno wszak słyszałem wczoraj na sali, jak jeden z niewolników Kraftstudta oświadczył, że charakterystyka impulsowo-kodowa każdego człowieka jest indywidualna, z jednym wyjątkiem — myślenia matematycznego.

Wprowadzono mnie do olbrzymiego pokoju. Wydawał się bardzo ciasny, tyle tu było poustawianych wokół jakichś aparatów i przyrządów. Pokój sprawiał wrażenie stacji rozrządowej niewielkiej elektrowni. Pośrodku znajdował się pulpit z przeróżnymi skalami i tarczami instrumentów. Z lewej za metalową siatką znajdował się duży transformator, a na porcelanowych tablicach tliło się czerwonym światłem kilka lamp generatora. Do siatki metalowej ekranizującej umocowane były woltomierz i amperomierz. Przy ich pomocy sprawdzano najwidoczniej moc generatora. Obok wznosiła się kabina o cylindrycznym kształcie, składająca się z dwóch metalowych części, górnej i dolnej, połączonych ze sobą w środku jakimś przezroczystym materiałem izolacyjnym.

Dwaj moi konwojenci podprowadzili mnie do kabiny. Zza tablicy rozdzielczej podniosło się dwóch mężczyzn. Jednym z nich był ten sam doktor, który prowadził mnie do Kraftstudta a później poczęstował narkozą, drugim — nieznany mi zgarbiony staruszek o gładko przylizanych rzadkich włosach na żółtej czaszce.

— Trzeba zdjąć spektrum — rzekł jeden z konwojentów.

— Nie dał się namówić — powiedział obcesowo doktor. — Wiedziałem o tym! Od razu orzekłem, że Rauch należy do kategorii ludzi o silnej naturze. Można się było tego spodziewać. Źle pan skończy, Rauch — rzekł zwracając się do mnie.

— Pan także — odpowiedziałem.

—No, to jeszcze nie wiadomo, a jeśli chodzi o pana, to całkiem pewne.

Wzruszyłem ramionami.

— Będzie pan wykonywał wszystkie czynności dobrowolnie, czy też trzeba będzie zmuszać pana do tego? — spytał obrzucając mnie bezczelnym spojrzeniem.

— Dobrowolnie. Dla mnie jako fizyka może to nawet być interesujące.

— Doskonale. Wobec tego proszę zdjąć buty i rozebrać się do pasa. Najpierw muszę pana zbadać, osłuchać, zmierzyć ciśnienie.

Po skończonym badaniu doktor rzekł:

— Proszę wejść do kabiny. O, tu ma pan mikrofon. Proszę odpowiadać na moje pytania. Muszę pana uprzedzić: przy jednej z częstotliwości poczuje pan okropny ból. Ale to minie natychmiast, ledwie pan zdąży krzyknąć.

Bosymi nogami stanąłem na porcelanowej podłodze kabiny. Nad głową zapaliła się żarówka. Rozległ się warkot generatora. Pracował w układzie impulsowym małej częstotliwości. Natężenie pola stało się najwidoczniej bardzo duże. Czułem to po wolnych przypływach i odpływach ciepła w całym organiźmie. Z każdym impulsem elektromagnetycznym odczuwałem w stawach jakieś dziwne szczypanie. Mięśnie w takt impulsów napinały się lub rozluźniały. Czułem skurcze mięśni nie tylko pod samym naskórkiem, lecz także głębiej, wewnątrz.

Generator zaczął pracować jeszcze intensywniej i częstotliwość fal ciepła wzrosła.

„Zaczyna się — pomyślałem sobie. — Żeby tylko wytrzymać!..."

d. c. n.

ODGŁOSY tygodnia

FENOMEN IMPORTU

Czy wiecie, że:

do Polski sprowadzane są z zagranicy pewne rodzaje lodówek, o których wiadomo z góry, że w przypadku ich zepsucia nie będą mogły być zreperowane. Po prostu — brakuje części zamiennych. W tym przypadku posiadacz takiej lodówki nawet po półtorarocznym użytkowaniu „szafy chłodniczej" może się zgłosić do „Argedu" i ten zobowiązany jest wystawić dokument potwierdzający niemożność dokonania naprawy. Nabywca musi otrzymać wobec takiego dictum zwrot kwoty za nową lodówkę. Efekt? W magazynach „Argedu" starannie się przechowuje kilkadziesiąt takich lodówek... bez części zamiennych.

P. S. Oczywiście — w taki sposób nabywca takiej lodówki użytkuje ją przez półtora roku za darmo!

CZY RZECZYWIŚCIE?

Pod względem zasięgu dziecięcej akcji letniej Łódź zajmuje bodaj pierwsze miejsce w kraju. W ciągu nadchodzącego lata 57 procent wszystkich łódzkich dzieci i młodzieży do lat osiemnastu wyjedzie na „świeże powietrze".

Łącznie w szkołach podstawowych i średnich mamy 129 tysięcy uczniów. Z nich 30 tysięcy wyjedzie na kolonie i obozy staraniem Kuratorium, kolonie dla 35 tysięcy organizują zakłady pracy. Jeszcze parę tysięcy to harcerze, którzy organizują własne obozy.

Państwo pokrywa koszty wyjazdów w ponad 90 procentach. Tak na przykład Kuratorium wydatkuje na akcję letnią 20 mln. złotych, dopłaty rodziców wynoszą 1,8 mln.

Zdaniem wicekuratora m. Łodzi — p. Edmunda Przeździeckiego — tylko znikomy odsetek dzieci pozostanie na lato w mieście. Bo zamożniejsze wyjeżdżają razem z rodzicami, bo wielu łodzian ma „rodzinne powiązania" ze wsią. Akcja letnia obejmuje przede wszystkim tych, którzy takich możliwości nie mają.

Rozmach akcji mówi sam za siebie. „Odgłosy tygodnia" zastanawiają się jednak nad inną sprawą: dlaczego nie pomyślano nigdy dotąd o przeprowadzeniu ewidencji dzieci, które n i e w y j a d ą. Najpewniej przypuszczenia p. wicekuratora pokrywają się z prawdą, ale są to tylko przypuszczenia.

A wiadomo przecież, że znajdą się — choć w niewielkiej ilości — rodzice, których nie stać na opłacenie nawet symbolicznej poniekąd stawki za udział dziecka w kolonii, szczególnie, gdy dzieci w domu jest kilkoro. Wiadomo również, że są jeszcze dziś ludzie skandalicznie zacofani, którzy nie potrafią zrozumieć konieczności wysłania swego dziecka latem na świeże powietrze.

W tym roku zapewne nic nie da się już zrobić. Ale „Odgłosy tygodnia" proponują, by od roku przyszłego możliwie wcześnie rozpoczynać ewidencję dzieci, co do których istnieje przypuszczenie, że nie wyjadą, by móc takim wypadkom zapobiec.

Bo w cieniu wielkiej akcji pozostają sporadyczne, ale tragiczne zaniedbania, których jakoś nie chcemy dostrzegać.

Stać nas już chyba na rzucenie i realizowanie hasła: „każde dziecko na letnisku". Bo pamiętajmy, że chociaż przodujemy dotąd w akcji letniej, to niestety, przodujemy również w zanieczyszczeniu powietrza nad miastem.

Foto: W. Biliński

Foto: W. Parys

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

TRZECIA W KRAJU

Łódź stanowi trzecią co do wielkości widownię telewizyjną w kraju. Według stanu na dzień 31 marca br. najwięcej telewizorów zarejestrowano w województwie katowickim — 169.106 (w tej liczbie 25.808 na wsi). Na drugim miejscu znajduje się Warszawa — 78.813 telewizorów. Miasto Łódź liczyło 32.740 „szklanych ekranów", zaś województwo łódzkie 11.346. Najmniej „utelewizyjnione" było i jest koszalińskie (64 aparaty), białostockie (108). Ogółem liczba telewizorów w kraju wynosiła w końcu pierwszego kwartału b.r. 485.436 (z tego 66.662 na wsi). Godzi się przypomnieć, że jeszcze pięć lat temu telewizor był u nas luksusem, posiadanym przez „górnych dwa naście tysięcy".

JESZCZE O MUZYKALNYM KIEROWNIKU

W swoim czasie pisaliśmy o kierowniku Wydziału Kultury w Piotrkowie, który czas po pracy uprzyjemniał sobie, grając w zespole tanecznym piotrkowskiej kawiarni „Ormianin". Jako żywo w tak sympatycznym hobby nie widzieliśmy nic zdrożnego.

Niestety, jak się ostatnio dowiadujemy, p. Kociniak, z przyczyn zasadniczych musiał zaniechać występów.

Pewien mądry człowiek powiedział kiedyś, że najgroźniejsza jest władza pozbawiona poczucia humoru. I w dodatku niemuzykalna — dodamy ze swej strony.

POTRZEBA MATKĄ WYNALAZKÓW

W Wilczycy, pow. Poddębice przed kilku dniami znaleziono w torfie skarb sprzed dwóch i pół tysiąca lat. Składał się on m. in. z bursztynów i bransolety z brązu. Z punktu widzenia archeologów taki skarb ma wielką wartość. Ale nie tylko dla archeologów.

Po udaniu się na miejsce archeolodzy stwierdzili, że niektóre przedmioty służą współczesnym równie dobrze jak i praprzodkom sprzed dwu i pół tysiąca lat. Z brązowej bransolety — oczywiście po oczyszczeniu śniedzi — jeden z mieszkańców Wilczycy wykonał sobie część brakującą w jego maszynie do szycia. Bursztyny nanizano na żyłkę nylonową i przyozdabiają teraz jedną z miejscowych panien na wydaniu.

CO TO SĄ „LITOSY"?

Poza nielicznymi wyjątkami nikt chyba na to pytanie nie potrafi odpowiedzieć. Otóż litosy to po prostu... plakaty, zwykłe barwne plakaty reklamujące film, koncert... Rozlepianiem litosów zajmuje się w Łodzi istniejąca już od wielu lat plakatownia Spółdzielni Pracy im. Hanki Sawickiej.

Co rano ośmiu pracowników tej spółdzielni wyrusza na miasto, aby w ponad 200 punktach (nie wolno plakatów naklejać, gdzie się komu zamarzy) pozostawić na ścianach barwne reklamy cyrku, mydła, wody kwiatowej czy dość problematyczne zawołanie: „margaryna jak masło".

Ceny są absolutnie przystępne. Za rozpowszechnienie plakatów o największym możliwym formacie, płaci się 1,80 zł od sztuki. Plakatownia zapewnia wtedy „litosowi" życie na trzy dni. Gdy ktoś ma życzenie, owo życie przedłużyć może tego dokonać za skromną dopłatą — już 20 groszy od sztuki za każdy następny dzień. Aż do dwu miesięcy.

Z nadejściem czerwca plakatowa koniunktura wyraźnie się zmniejsza. Do września pracownicy plakatowni nie będą mogli narzekać na nadmiar pracy. Specjalnie ich to zresztą nie cieszy, bowiem płaca „rozlepiaczy" uzależniona jest od ilości rozpowszechnionych afiszy.

I jeszcze jedno. Najtańszą pozycją w cenniku plakatowni są... nekrologi, których rozplakatowanie zryczałtowano w granicach około 10 złotych. Woleliby śmy jednak z tej niebywałej taniochy korzystać jak najrzadziej.

KOŃ A SPRAWA POLSKA

Niespełna rok temu niektórzy publicyści wszczęli alarm z powodu zbyt dużej ilości koni w naszym kraju. W ferworze polemicznym ktoś wówczas rzucił groźbę, że konie nas zjedzą. Dziś możemy z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że stało się całkiem przeciwnie — to właśnie wzrosła ilość koniny konsumowanej przez ludzi. Wzrost ten tłumaczymy jako akt samoobrony rodzaju ludzkiego przed żarłocznymi końmi. W ubiegłym roku sprzedano w Łodzi ponad 300 ton końskiego mięsa.

W naszym mieście znajduje się 10 jatek. Ciekawe, że choć zaopatrzenie ich uzależnione jest od końskich wypadków dystrybucja jednak nie szwankuje.

Klientami jatek są przeważnie miłośnicy kynologii, hi, hi, hi, hau, hau.

CIERNIOWA DROGA KSIĄŻKI

Przetrzymywanie książek z bibliotek publicznych stało się obecnie „chorobą społeczną". Mamy w bibliotekach łódzkich 41.000 czytelników, a ilość wysyłanych do nich corocznie „monitów", w których przypomina się, że upłynął termin wypożyczenia — wynosi 25,5 tysiąca. Czyli na każdego czytelnika wypada 0,62 monitu.

Taki niesumienny czytelnik nie zadowala się zwykle jednym łagodnym monitem. Zazwyczaj skutkuje dopiero monit trzeci lub czwarty, w którym biblioteka powołuje się na ustawę o przywłaszczeniu mienia społecznego.

Z końcem 1959 roku przekazano do notariatu celem egzekucji 37 spraw czytelników, którzy nie zwrócili książek nawet po czwartym monicie. W 22 z tych wypadków interweniował komornik, który wyegzekwował od 9 „sprawców" 647 złotych 92 grosze. Sześć spraw toczy się do dziś. Koszty tej dwuletniej „batalii" wyniosły 545 złotych 95 groszy, co musiały pokryć biblioteki.

W efekcie odzyskano „na czysto" zaledwie 101 złotych 97 groszy. Z tej drogi więc biblioteki zrezygnowały. Skuteczniejsza okazuje się działalność grupy aktywu, której członkowie obchodzą sąsiadów i odbierają książki. Tak samo „spacerują" woźni, pracownicy i kierownicy bibliotek, jednym słowem — kto żyw. Pewna bibliotekarka dzięki prywatnej znajomości „zatrudniła" nawet dzielnicowego. Autorytet munduru zrobił swoje, ale dzielnicowy pono od tego czasu unika biblioteki.

Byłoby logiczne wprowadzić kaucje. Książka nieoddana, kaucja przepada. Wcale to jednak nie takie proste. W roku 1959 na próbę ustalono w bibliotece nr 18 kaucję w wysokości 30 złotych. W ciągu sześciu miesięcy ilość czytelników spadła z 650 do 120. A trzeba wiedzieć, że Łódź posiada jeden z najniższych w kraju wskaźnik ilości czytelników na liczbę mieszkańców. Każdego nowego czytelnika hołubi się jak kwiatek.

Niestety, kwiatki okazują się nieraz chwastami.

BRZUCH ŁODZI

Według informacji Wydziału Handlu mieszkańcy Łodzi skonsumują w tym roku około 80 tys. ton warzyw i owoców. Tak więc, ażeby wykonać plan konsumcji każdy z nas zobowiązany jest zjeść co najmniej 89 kg warzyw i 22 kg owoców.

Między innymi powinniśmy spałaszować 1500 ton cebuli, 3700 ton kapusty, 20000 ton marchwi, 1000 ton ogórków i 3500 ton jabłek. Cały ten jarski obiad zapijemy 34 tonami pszczelego miodu.

Smacznego!

ALL RIGHTS RESERVED
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
COPYRIGHT BY ODGŁOSY